



W tym numerze: Rekordowy wysyp ciekawych książek pisarzy gorzowskich: Zdzisław Morawski – „Rzecz o dorzeczności”, Maria Bortz – „Spopieleni”, Magda Turska – „Międzyczas, którego nie ma”, Iwona M. Żyt-kowiak – „Tam, gdzie twój dom”, Ireneusz K. Szmidt – „Czerwone korale”, Ziom Ziomkowski – „Akt eRosa”. Recenzje i omówienia książek, premiery nowych. Dwa udane debiuty poetyckie: Krzysztofa Kułaka i Kamila Melera. LUBUSKIE WAWRZYNY! Inne wiadomości literackie ORAZ satyra: wiersze, humoreski i aforyzmy

Irena Zielińska

WĘDRÓWKA KOBIET

*Pierwsza kobieta...
to dziecko
które chcę opisać
jak jakieś okno
w słowach*

*otwarte
przez nie widzę
kruchą sylwetkę
dziewczynki
kilka barwnych motyli
w rączkach trzyma*

*horyzont rozświetla się
rozprzestrzenia*

*Druga kobieta
to już młoda dziewczyna
z dzbankiem na głowie
idzie przez ogród
jej biodra kołyszą się
i płyną*

*ogród
cały w zachwyceniu
kwitnie*

*Trzecia kobieta
to już tylko
opięta spódnica
ciasna kuchnia
ręce
i stół*

*cerata na stole
w krzyżyki pocięta*

*Czwarta
bije ją mąż*

*stare sąsiadki
szepczą o tym
za plecami
drwał drwa rąbie
wióra lecą*

*Piąta
chce uciec
z kamiennego
domu*

*poza
różami obsadzony
ciernisty płot
różę płaczą*

*Szósta
samotna
wygląda
przez okno*

*kobieta o oczach
jak splotniałe
ły*

*Siódma
jak obłok
na parapecie
pęknięty*

losu błękit

*Następna kobieta
to mój własny los
który otwieram
na oścież*

*jak wichropylne
okiennice
i słowa*

Marek Grewling

ABSALOMIE, ABSALOMIE czyli międzyczas

Oto scenki z życia naszego. Polskiego, codziennego. Epizod na stacji benzynowej niewielkiego miasteczka na zachodnim pograniczu: mężczyzna wypycha się bez kolejki, stawia przy kasie puszkę z napojem i kładzie monetę. Ja komentuję: „Pan pomylił kolejność”. Mężczyzna: „A masz k[...] jakiś problem?”.

Scena wtóra: Poważny Urząd Państwowy w podobnym miasteczku. Panienska w okienku obsługi nie wydała mi druku do wypełnienia i dlatego musiałem dwukrotnie przemierzać trzy piętra gmachu. Dodam, że panienska musiała wiedzieć, że druk jest niezbędny. „Pani nie dała mi odpowiedniego druku do wypełnienia” – powiadam za drugim podejściem. Odpowiedź: „To pana problem” i podaje druk ze skwaszoną miną oraz cytatem z Barei: „Proszszszsz”. Znalazłoby się jeszcze kilka podobnych scenek z życia naszego polskiego, urzędowego, sklepowo-usługowo-usługowego. Oszczędzę ze względu na ograniczenia wynikające z ilości przeznaczonych dla mojego eseju znaków, czyli liter, które mogę napisać.

Amerykański pisarz i noblista, Wiliam C. Faulkner, jest, jak wiemy, autorem świetnego dzieła, przejmującego swym dramatyzmem „Absalomie, Absalomie”. Rzecz dotyczy syna izraelskiego króla Dawida, Absaloma, który mimo miłości do ojca był zmuszony wystąpić przeciwko niemu. Los potoczył się tragicznie i wbrew woli ojca Absalom został pozbawiony życia. Tym razem mniej nas interesuje pasjonująca skądinąd kanwa i narracja, a bardziej zajmuje merytoryczna forma prozatorska, jaką przyjął Faulkner, tworząc swe dzieło. Idzie mianowicie o strumień świadomości. Teoria literatury najogólniej definiuje strumień świadomości jako zapis umysłowego przeżywania człowieka – monolog wewnętrzny. Strumień świadomości to przeży-

WIOSNĄ LUDZIE ROSNĄ

Jak zapowiedziałem w poprzednim wstępie, powrócił do Gorzowa jego Książę. Książę Poetów. Powrócił w obszernym wyborze swoich wspaniałych wierszy w księdze na 280 stronach, w miękkiej i twardej okładce. Takiej książki jak „Rzecz o dorzecznosci”, niestety, nie doczekał się za życia. Te wiersze – po niemal dwudziestu dwóch latach od Jego śmierci – powinny teraz z całym blaskiem, z reinterpretacją treści i formy znów zacząć mieszkać w mieście, któremu Zdzisław nadał miano swojej „przystani”, a które dziś urzędowo, z pomarańczowym logo, jest i naszą przystanią.

Na bulwarze palmy jeszcze nie rosną, a Zacharek w pustej łódce siedzi. Niedługo zaczynają się do niego przysiadają dzieci i turyści poszukujący do fotografii. Na spotkaniu z jego rzeźbiarką, Zosią Bilińską, na Zapiecku, padły propozycje, żeby obok przewoźnika posadzić wyrzeźbionych pasażerów, bo w jego łodzi podobno zawsze był tłok... Pomysł upadł z powodu dużych kosztów. Turyści odetchnęli z ulgą.

W zasadzie wszystko byłoby normalnie, jak Pan Bozia zaprojektował. Nic to, Baśka – jak mawiał Mały Rycerz, że wiosna ciut za wcześniej i może się jeszcze jej starsza siostra, Zima, o swoje, jak Wielki Wschodni Brat o Krym, upomni. Prezydent Janukowicz, udzielną książkę, przeoczył, że wiosną ludzie rosną i wyrosli mu ponad Majdan...

Martwiłem się, że w tym Pegazie nie będzie nic o Ukrainie, bo Literatura na razie w tej sprawie się nie wypowiada. A jak widać wyżej – już jest. Mógłbym nawet ten temat trochę dalej pociągnąć, nie wskazując dyplomatycznie, czy jestem „za”, czy nawet „przeciw”. Gdy w trzy lata po „pomarańczowej” mój główny prezes z Warszawy wysłał mnie do Kijowa i Dniepropietrowska na okrągłą rocznicę Tarasa Szewczenki, ze zdumieniem odkryłem, że ten staro-nowy naród zjednoczony jest tylko w jednym aspekcie. W publicznym, medialno-prasowym plebiscycie na pomnikowego bohatera wszech czasów zwyciężył Stepan Bandera przed kniazem Jarosławem Mądrym i... Chmielnickim. Ale podobno i te wybory sfalszowano. Był koniec czerwca 2008 roku, a młode, po rozpadzie ZSSR, państwo było targane konfliktami, już wtedy grozącymi rozpadem. Pod pomnikiem Szewczenki w Dniepropietrowsku było pomarańczowo i czerwono, ale barw narodowych było na drzewcach niewiele. W tym mieście, położonym 600 km od Kijowa, przez kilkadziesiąt lat niedostępnym dla cudzoziemców, bo produkowano w nim radziecką broń nuklearną. Spotkali się poeci, by uczcić tego, który praktycznie stworzył ukraiński język literacki. W swych wierszach i pieśniach opiewał Ukraińców wierność zasadom, waleczność i buntowniczość. I dlatego czczą go tam, co roku w innym mieście, bo jest i dziś dla Ukrainy nie tylko wielkim poetą, ale wzorem bojownika o jej niepodległość i wyzwolenie zwłaszcz spod „polskich panów”. Jego wiersz „Do Polaków” przeszedł do historii obu naszych narodów. Tak się zaczyna: „Kiedyśmy byli Kozakami, / I nic o unii nie słyszeli, / Na wolnych stepach, wolni sami, / Brataliśmy się z Polakami / I żyli sobie najweselej!”. Ale, niestety, przyszli panowie szlachta, księża, i wielmoże polscy i ten sielski raj zamienili w morze krwi i łez. Nawet sierotom nie darowali. W środkowej zwrotce: „Już głowy chyły się kozacze / Jak wiatrem przynięcioną trawą / Już Ukraina jęczy, płacze, / Już się zaczęła ucztą krwawa / A ksiądz bez przerwy wysławia / Wściekle: „Te Deum! Alleluja!...” Na koniec: „...I tak Polaku, drubu, bracie, / Zachłanni księża i magnaci / Nas poróżnili, rozdzielili. / A my wciąż zgodnie bismy żyli. / Podajże rękę Kozakowi / I serce do niego przychył, / I razem w imię Chrystusowe / Odbudujemy raj nasz cichy”.

Przeczytałem ten wiersz na mityngu poetyckim w polskim przekładzie. Nagrodzili go długo trwającymi brawami. W nieoficjalnych rozmowach z pisarzami często wracał temat Bandery. Dla niektórych wstydlivy... Gęby mediów ukraińskich w tym

cd. ze str. 1

wanie tego, co się myśli, słyszy, widzi, ale również skojarzeń nasuwających się autorowi. To połączenie umysłu i impresji chwili. Mamy tu relację narratora, który opowiada myślami głównego bohatera, ale też myślami innych swych bohaterów. I tak oto prawda, zwana obiektywną, staje się prawdą relatywną, bo widzianą z punktu wielu obserwatorów, którzy są przekonani o swym (paradoksalnie) obiektywnym subiektywizmie. Taką właśnie technikę odnajdujemy u Jamesa Joyce’a w „Ulissiesie” czy też u Edouarda Dujardina „Wawrzyny już ścięto”, z których, nawiasem mówiąc, czerpał inspirację Faulkner.

Proste pytanie: dlaczego mowa o strumieniu świadomości w takim przybliżeniu i dlaczego odwołania do klasyków literatury światowej?

Otóż przeczytałem ostatnio książkę gorzowskiej pisarki Magdy Turskiej zatytułowaną: „Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy”. Nie było łatwo. Bo dokładnie tak, jak napisał jej wydawca i autor posłowia I. K. Szmidt: „Proza Magdy Turskiej sama się nie czyta”. Książka tej pisarki jest naznaczona stygmatem strumienia świadomości. To łączy się z czytaniem niebanalnym. Z czytaniem wymagającym. Stąd moje przywoływanie definicji i przykładów z literatury europejskiej. Turska po prostu kroczy drogą strumienia świadomości. To nie jest książka na „jedno posiedzenie”. Tutaj wymagana jest czytelnicza cierpliwość i obycie. Autorka nie pozwala odbiorcy na „lekkie czytanie”. Ona zmusza do myślenia. Ją czyta się powoli i koniecznie z przemyśleniem. Dobrze też gdy czytelnik ma odpowiednie rozeznanie i zna smaki literatury.

Na wstępie niniejszego eseju przytoczyłem „scenki nasze rodzime”. Oczywiście zabieg był zaplanowany. Bo okazuje się, że strumień świadomości, który Turska otwiera przed czytelnikiem, jest właśnie kontestacją naszej polskiej rzeczywistości. Wszak rzeczy opowiedziane w jej książce dzieją się u nas i wśród nas. Podłości, głupotki i szlachetności przepływające przez świadomość pisarki i jej bohaterów, to podłości głupotki i szlachetności, z którymi spotykamy się na co dzień w naszej rzeczywistości. Pani Magda pokusiła się o mentalne ogarnięcie tego, co stanowi de facto naszą codzienność. Ludzie z ich dziwnymi zachowaniami, przeszłość i próby kamuflażu, ludzka małość i szlachetność w tej książce próbują znaleźć jakies porozumienie.

Resumé? Dobrze, że Turska opisała to, co przez naszą świadomość się przetacza, a o czym nie zawsze bądź rzadko ośmielamy się powiedzieć.

Marek Grewling

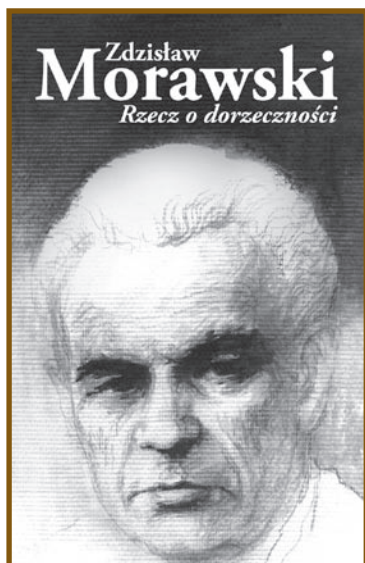
czasie były pełne Ukrainy we wszystkich przypadkach, niemal w co drugim zdaniu wypowiedzianym przed mikrofonem i na ekranie. Myślę, że w ten werbalny sposób Ukraińcy utwierdzali w sobie niepodległość swojej ojczyzny.

Słowa, słowa słowa...

Rozpoczęta w poprzednich numerach „Pegaza” inwazja „młodych zdolnych” trwa. Młodzież, co gołym okiem widać na kolumnach debiutów, coraz śmielej mówi własnym głosem. Nie wolno nam tego głosu nie słyszeć. Trzeba zacząć im drukować książki, póki je jeszcze cenią. Do kogo to mówię? Do siebie.

Wesołego Alleluja!

Ireneusz K. Szmidt



POWRÓT ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO

Zdzisław Morawski jest uznawany za najwybitniejszego gorzowskiego poetę, a przecież od jego śmierci minęło już ponad 20 lat. Przez ten czas ukazał się tylko jeden tom jego wierszy niewydanych za życia poety, natomiast inne wiersze pozostawały w małych, trudno dziś dostępnych tomikach sprzed nawet 50 lat. Na szczęście niedawno ukazał się opasły

tom wierszy Zdzisława Morawskiego wydany przez gorzowski Oddział Związku Literatów Polskich dzięki dotacji z budżetu miasta Gorzowa. Nareszcie. Wyboru dokonał Ireneusz Krzysztof Szmidt, który ułożył wiersze w czytelne rozdziały. Tom zamyka obszerny krytyczny esej o twórczości gorzowskiego poety pióra Czesława Sobkowiaka...

Dobrze pamiętam Zdzisława Morawskiego, postawnego mężczyznę, świetnego mówcę, człowieka cieszącego się dużym autorytetem, który do swojego Gorzowa wnosił daleki, warszawski świat kultury i polityki. Nazywaliśmy go tutaj Księciem Poetów, chyba wtedy nie wiedząc, że w stolicy tytułem tym obdarzano przede wszystkim Zbigniewa Herberta. A na pewno nie mogliśmy przypuszczać, że po latach obu poetów połączy... gorzowska biblioteka.

Zdzisław Morawski zawsze chciał być przede wszystkim poetą polskim, ogólnopolskim. I na pewno był. Ale dopiero po latach, z wierszy odczytanych długo po napisaniu, widać, jak również był gorzowski, lubuski. W wierszu „Mozaika” wymienia krainy, które miały na niego wpływ: Kujawy, Mazowsze, Pałuki, Wielkopolskę, ale dla poety „moja” jest tylko gorzowszczyzna. Taki termin ukuł dla swojej lokalności. (Na marginesie – bardzo lubił tworzyć nowe słowa). Świadomość związków z tym raczej przypadkowo wybranym regionem jest bardzo widoczna w jego późniejszych wierszach. Szczególnie problem niemieckiej historii miasta i naszej, polskiej obecności, był dla niego ważny. Rozstrzygnął go w tomie „Strofy o dzierzawie”, bo właśnie dzierzawą nazwał związek człowieka z ziemią, niezależnie od tego, jakiej ten człowiek jest narodowości.

Dla niego nasza, polska kontynuacja pracy dla tej ziemi też była dzierzawą. Ogromnie cieszyła go nadwarciańska przyroda, kochał okoliczne jeziora, po których z pasją żeglował. Dużo wierszy napisał z jej inspiracji.

Nowa książka z wierszami Zdzisława Morawskiego ma tytuł „Rzecz o dorzecznosci”, przeniesiony z jego poetyckiego traktatu na temat rzeczy jako tematu dla poezji. Natomiast w moim odczuciu w tytule tego poematu pobrzmiewa też rzeka Warta z jej dorzeczem, z jej znaczeniem dla regionu i człowieka.

Promocja zebranych wierszy Zdzisława Morawskiego zgromadziła w naszej bibliotece komplet przyjaciół gorzowskiej literatury. Gośćmi specjalnymi była najbliższa rodzina poety i najlepszy znawca twórczości naszego Księcia – Czesław Sobkowiak. Pokazany został także film Leszka Szopy z 1992 roku, w którym wiersze Morawskiego czytają gorzowscy – wtedy – aktorzy. Roman Wojciechowski przeczytał pięknie poematy „Ziemia dla żywych” i „Kamień częścią ziemi”, a co najważniejsze – „Rzecz o dorzecznosci” można było otrzymać na specjalnych promocyjnych warunkach.

Kapituła Lubuskiego Wawrzynu Literackiego przyznała pocie i jego ostatniej książce laur pośmiertny. Odebrała go żona laureata Maria Morawska.

O innych Wawrzynach czytaj na str. 20-21 (KK)



Zdzisław Morawski

PRYZSTAŃ W GORZOWIE

Tu mój ocean i przystań, bosmanie
Krętowisko domów, wirowisko ulic
Dryfuję wśród nich jak w starym kliperze
Co go wiatr porzucił
Zmarniały mu żagle

Tu silniejsze podmuchy dochodzą skręcone
Jako wiatru echa gładzą twarze w wodzie
Zbierają uśmiechy
Polerują gniewy
Oblicza w Gorzowie są w ochronnym całunieniu
Tutaj najchętniej milczy się o sztormach
Po cóż rozprawiać o diabelskiej strawie

Tu moje łowiska, łowię chude ryby
(ryby w mojej zatoce są po tarle więc chude)
Trochę karmię siebie, by tężały choć słowa
Aby moje pisanie stały się snycerskie
Ością na błękicie

Tutaj zgarniam mozolnie w oka moich sieci
Każdy ukłon życzliwy
Żal każdy, pieśń każdą
I wołania, co giną już u krućca języka
I smutki zwinęte
Jako ptasie lotki w gniazdach ludzkich uszu

REKOMENDACJA dla MŁODEGO POETY

Uczniowie Liceum Ogólnokształcącego w Świebodzinie kontynuują ofensywę debiutów. W tym numerze „Pegaza Lubuskiego” mam przyjemność zarekomendować kolejnego MŁODEGO adepta literatury wywodzącego się z tego właśnie kręgu.

Mowa o **Krzysztofie Kułaku**, uczniu klasy maturalnej i rodowitym świebodzinianie. Jak sam siebie definiuje, inklinacje w kierunku czynnego uprawiania literatury przejawiał od dzieciństwa. Dzisiaj deklaruje, że poezja i literatura są dla niego ważne. Uprawia tak poezję, jak i prozę. Młody twórca zachowuje jednak dystans do swoich możliwości i warsztatu. Dzisiaj przyjrzyjmy się utworom lirycznym, które wyszły spod jego pióra. Petryfikuje w nich mityczne krajobrazy ogólnie przyjęte jako miernik ocen kryteriów życia. Cieszy, że w czasach ucieczki od rozumu krytycznego młody poeta mówi „nie” przeróżnym zabobonom. Bo choć to może wydać się paradoksem, mity nadal są paradygmatem dla wielkich rzesz śmiertelników. Kułak zaprzecza tak pojętemu paradygmatowi.

Naturalnie wiek poety ma swoje prawa. Stąd jakże zrozumiałe artefakty erotyczne czy odniesienia do pierwszych poważnie traktowanych relacji.

Poeta Krzysztof Kułak – jak wspominałem – to także bardzo uzdolniony prozaik. Pisze swoiste antyutopie, a jego proza przykuwa uwagę. Jest to pochodną obycia literackiego, bo Krzysztof jest uczniem pilnym, a do tego skromnym, co samo w sobie jest dobrą prognozą na przyszłość dla jego literackiego życia.

Marek Grewling

13 czerwca 2013

przemija wiosna
a ja kurewsko nienawidzę
świata
piszę listy do bliskich
(jak prosiła)
na wypadek jakbym umarł
przypadkiem
masa razy prędkość
wyrzucony z życia
przez przednią szybę
nie było pasów
a chętnie bym zapiął

gdzie są wszyscy
zostawiają tylko siniaki
i rozbite wargi
bo biję ludzi pięściami
gdy nie mam o co walczyć

wrzesień 2013

rehabilitacja
(List do M.R.)

zęby wybite o asfalt
czoło rozcięte przez szybę
czern pokryta moją ciepłą
i diamentami
uśmiecham się
nie było pasów
życie wsadziło mnie na wózek
już mi nie zależy
i dobrze
czasem łatwiej jest jechać
na czterech kółkach
niż iść na nogach
i sercu

budzę się rano jak dawniej
chodzę
jem
oddycham
dławię się tłuczonym szkłem
ale łatwiej gdy sam dla siebie
wyglądam
jestem
donikąd nie jadę
nie jesteś już celem
mojej podróży

albo i jesteś
ale do ciebie nie zmierzam

8 października 2013

Z.G.

sz! to tamto co mogło być
odpływa
ktoś mnie zechciał
pragnął
zabić

Jeet Kune Do
najszybsza droga
fizyczna zależność
(prze)chwyciła moją dłoń
więc ją odciąłem

9 października 2013

podelb

patrzyłem na nią dwa lata
z dystansu
z podelba
przez lornetkę
choć była już częścią mnie
poznałem ją
od nieumytych włosów
przez wypracowaną
doskonałość
po przeпоconą bieliznę
a ona знаła mnie
jak tył swojej głowy

to ja widziałem tył jej głowy
ona nie miała pojęcia
jak wiele razy
szukałem drogi
by czuć
ponad ołowianą bryłą
przykutą do nogi
w żołądku

nie byłem tam
nie ja
była ona
brak. Słów!

nie ma winy
jest niemożność

28 października 2013

koniec aktu trzeciego

chyba zgubiłem drogę
gdy zśliśmy po wybojach
w wichrze i błocie
wypadła mi z kieszeni

była jak czapka
w którą owinałem

nasze dłonie
gdy marzliśmy
umierając
(raz za)
razem

szukam naszych zwłok
porzuconych na torach
rozwleczonych po stacji
nim obsługa
zetrze nas
z podkładów
a świat
potoczy się
dalej

czarny
bez
nas

październik 2013

potrzebuję cię
wiesz
jak pies swojego ogona
więc cię gonię
jak pies goni swój ogon
i uciekasz mi
nieświadomie
bez złej woli
jak ogon przed psem

i się tak kręcę
we własnej bezradności
i robi mi się niedobrze
od tej pieprzonej karuzeli

więc wysiadam
wychodzę
ale drzwiczki mi
przytrzasnęły
ogon

5 grudnia 2013

nieważne

mam dosyć tych krótkich
irytujących
odcinków czasu
pomiedzy snem a snem

tych drażniących ciągów
przytomności

i patrzę jak biegasz
teraz ty
już za twoim ogonem
nie patrzysz na mnie
i nie zebrzę już o twoją
atencję

i liczę czasami
że skoro na mnie
nie patrzysz
to może w końcu zniknę
kompletnie

bez strachu

nie strasząc nikogo

poprosiłbym byś nie płakała
ale coś mi mówi
że i tak nie będziesz
a szkoda

9 stycznia 2014

wybudowałem pomnik
trwały jak z morskiej piany
minuta czy przypadkowa myśl
zniszczy go nawet

ja
dziecko współczesnej kultury
która zapomina o nas i kasuje
jakbyśmy wszyscy
trzymali się krawędzi kartki
w zepsutej rozdrabniarce

nie będzie ponadczasu
a przyszłe pokolenia
odziedziczą tylko nasze dusze
zamknięte w hashtagach*)

#YOLO ale czuję
jakby wcale

*) Używane głównie na Twitterze oznaczenie wpisów ułatwiające wyszukiwanie tweetów. Jest to słowo poprzedzone znakiem hash (#) umieszczone we wpisie.



W IMIĘ OJCA

KRZYSZTOF
KUŁAK

Rocznik 95. Urodzony w Świebodzinie. Dzięki wpływowi ojca zainteresowany fantastyką od zawsze. Pierwsze opowiadanie napisał w wieku siedmiu lat, na szczęście je zgubił. Od tamtego czasu tworzy prozę, odnosząc drobne sukcesy w lokalnych konkursach literackich. Dopiero w wieku osiemnastu lat na poważniej spróbował swoich sił w poezji i nie żałuje.

Obecnie uczy się w świebodzińskim Liceum nr 1, gdzie pisze nowe wiersze na marginesach zeszytów i w trzymanym pod ławką telefonie.

Dla przyjemności czyta współczesne powieści, szczególnie fantastykę. Hobbyistycznie ćwiczy kulturystykę i karate.

Marzy o byciu pisarzem i... trenerem fitness.

Jak będzie umierał, podsumuje swoje życie słowami „Groza! Groza!” i będzie mu bardzo smutno, że pewnie nikt nie zrozumie odniesienia do klasyki literatury. Ale tylko przez chwilę.

26 listopada 2013

przecież podejrzewałem
i mówili mi
że życie to piekło

w czym więc umiejscowić zawód
że
czas(u)
tak mało
(by)
(drugiego)
człowieka

kocha(ć)

i co można dotknąć
to gnije

Czerwień

Zaskakujące w kocie jest to,
że będąc siwym lub żółtym
Składa się głównie z czerwieni

Pokazał mi to samochód
Dekonstruktor zwierząt
Niezdarny anatom zmieniający
specyfikę kotów

Dzięki niemu wiem (choć wciąż
się dziwię), że
Rozwinięte życie – całe czerwone
Wstydy się tego, traktuje jako
słabość.

Czerwone mogą być dżdżownice,
ale nie ssaki.

Przed nimi stoi otworem
Cała maskarada barw
Róże, gdy się rodzą,
brązy i szarości ich włosów,
zieleń i błękit małych ikonek
duszy.

Czerwień wychodzi dopiero przy
zmęczeniu lub kolizji.

Taka jest natura życia:
Obnażone do nagiej barwy
podstawowej
Wypływa rumieniąc się i milcząc
porzuca uszkodzone ciało
Bez zbędnych przeprosin
dla ostatnich spojrzeń
prawie ludzkich oczu.

Maszyno hydrauliczna bez płynu
Wąski płacie ziemi
Uszkodzony stroju doczesny
Alegorio w mikroskali niezwyłego
wszechświata

Ikar

Starzec z drewnem wdycha części
poranka

Odwraca się
Jest tu ktoś jeszcze
Druga młodsza osoba
Słońce wschodzi prosto na nich
Starzec mówi
Które to już słońce jakie przeży-
jemy

Tamten przytakuje

Krople rosy i mgły
powoli zasiadają

Na swoim miejscu
Ostatnia chwila
Dobrej widoczności

Dwójka ludzi idzie przez las

Patrzą w tło gałęzi gotowych do ścięcia
Na zachodzie błyszczą nowa gwiazda
Razi ich w oczy
Światło załamane na korpusie
i skrzydłach

Rozklejanie

To tylko kwestia koncentracji
odpowiednich ruchów
Aby zielony jasny dla mnie
był zielonym jasnym dla ciebie

Zauważ
Połączenie między nami się zabliznia
Po środku można już mieć problemy
Z odnalezieniem tak wyraźnej
– na krawędziach – odrębności

Gdy tak o tym myślę
Gdybam sobie czasem
(w sumie cały czas)
Idę dalej i
Zachodzi we mnie rozklejenie
Namacalny proces rozpadu
i rozrucenia się
w nieładzie na podłodze

I gdy leżę na ziemi w tych częściach
Słyszę jak moje usta wołają ciebie
Na co serce podskakuje szybciej
pompując nieruchome powietrze
w górę w górę w górę
Rękoma wystukuję ten rytm
Co chodził po głowie (gdzie jest głowa?)
W sumie nie wiem co z resztą
z resztą sama zobaczysz
Bo taki będę jak wrócisz

Hej w końcu jesteś
Wejdz rozklej się
Tu masz miejsce
i tu i tu
I tu jakaś część może sobie legnąć

Najlepsze chwile to te
W których o tak o
Leżymy sobie
I jesteśmy
wymieszani

Chore drzewo

Nie wiem od czego zacząć
Zawsze gubiłem się w swych liściach
Od samego początku ich nieuchwytność
mnie smuciła

Niby były moje, ale gdy w końcu
nabierały koloru – uciekały
Wiatr okradał mnie z nich co jesień
A ja nie dałem rady złapać go w puste
dłonie

I nigdy nie znalazłem w sobie sił by go gonić
Źle się czuję
To może jakaś choroba
W gruncie rzeczy uleczalna potrzeba tylko
Dobrego człowieka cierpliwości lekarza
Drzew i roślin

Może to tylko ten wieczny strach
Przed nieznanym w dolinie
Które być może boi się nieznanego z góry
W takim razie może zdiagnozujesz u mnie
Drzewną hipochondrię

Wyobraźnia

Zamknąłem drzwi, których nie ma.
Tak z przyzwyczajenia.
Arogancko pchając klamkę najcięższą na
świecie.
Usiadłem na szlabanie kolejowym
Tak z przyzwyczajenia
Aby unieść się lekko z wiatrem i odlecieć.
Płynę pod prąd autostradą chmur
Donikąd by Czymś się stało.
Zaraz wracam!



Kamil Meler. Student V roku filologii polskiej na gorzowskim PWSZ, prawie technik-elektronik, kolekcjoner coraz to nowych zawodów i umiejętności w coraz to innych branżach i miejscach. Basista metalowego zespołu RWA, uliczny grajek, rowerzysta, poszukiwacz przygód i czegoś nie wiadomo czego.

Fan wystygniętego jedzenia. Miłośnik muzyki na żywo, książek Zafona, ostatnio teatru. Píše prawie codziennie, głównie słabe piosenki (które potem gra na mieście), czasem jakiś smutny wiersz. Wciąż wydaje mu się, że znajdzie w życiu czas na napisanie książki, którą zaczął dwa lata temu. Nie znajdzie.

BOHATEROWIE PRZYCHODZĄ DO MNIE NOCĄ

Rozmowa Krystyny Kamińskiej z Iwoną Żytkowiak, autorką powieści: „Tonia”, „Spotkania przy lustrze”, „Kobiety z sąsiedztwa” i „Tam, gdzie twój dom”

– Czy w dzieciństwie lub w latach szkolnych odczuwałaś potrzebę pisania?

– Niekoniecznie. Pisałam wiersze, ale kto w wieku nastu lat wierszy nie pisał? Także dziennik, który prowadziłam dość długo i systematycznie, listy (niekoniecznie wysyłane) i wiersze. Pierwsze nieporadne próby, ale takie, które niewiele już miały wspólnego z młodzieńczą egzaltacją, a raczej były próbą mierzenia się ze światem, pojawiły się, kiedy byłam już dorosła. Potem „popisywałam sobie”, ale nie traktowałam tego (zresztą dzisiaj też tak nie traktuję mojej poezji) poważnie. Kiedy nastąpiła era komputerów, dokonałam swistej ewidencji tych tekstów, a potem opatrzyłam jej tytułem. Wszystkie wiersze umieściłam w folderze. Zebrało się tego może 300, może nawet więcej. Jedne lepsze, inne gorsze, a jeszcze inne – to forma zabawy z wierszem, bo lubię czasami tak się pobawić. Wyszukuję triolety, tercyny, strofy safickie, haiku, limeryki, a potem mierzę się z nimi i odgrywam wielką radość, kiedy udaje mi się sprostać wymogom. Ale to tylko zabawa. Poezja jest bardziej wymagająca niż proza.

– Kiedy i na skutek czego powstał Twój pierwszy utwór prozatorski?

– Pierwszy utwór to „Tonia”. Zaczęłam pisać tę powieść mając... dwie ręce w gipsie. Jak pokurcz klikałam w klawiaturę.

– Powieść to duże wyzwanie. Jak to się stało, że wybrałaś właśnie ten gatunek literacki?

– Powieść pozwala na bycie w świecie alternatywnym. Lubię czytać i lubię pisać. Ale pisanie pozwala mi na tworzenie światów, modyfikowanie ich, przenoszenie doświadczeń, przepuszczanie przez własny filtr spostrzeżeń. Mam nieograniczoną niemal władzę. Mogę wiele... prawie wszystko. Wybranie powieści jako gatunku, którym staram się parać, jest posunięciem nieco ryzykownym. Obserwuję tak wielką konceptualizację literatury, poszukiwanie nowych form przekazu, gonitwę za oryginalnością, prześciganie się w różnorodnym definiowaniu odwiecznych prawd takich jak miłość, dobro, macierzyństwo, że ja z tym swoim, chyba już anachronicznym opisywaniem świata zgodnie z klasycznymi kanonami tego gatunku, mogę stać się najzwyczajniej nieatrakcyjna na rynku współczesnej literatury. I pewnie, gdybym się zadęła, zawzięła, napisałabym powieść stricte współczesną, nowym językiem internacional, ale czy ja czułabym się w tym dobrze? To tak, jakbym w wieku 50 lat wskoczyła nagle w super modną sukienkę lansowaną dla 20-latek. Wciągnąć, bym może wciągnęła, ale jak by to wyglądało? Dlatego poprzestaję na swoim.

Poza tym lubię język. Lubię mój język. Kiedy staję w klasie przed moimi uczniami, a oni patrzą na mnie maślanymi oczami, nie wiem, co mam powiedzieć i jak. Ale muszę, bo



oni czekają. Więc mówię do nich. Sublimuję słowa, odpowiednio dobieram, wyszukuję te najodpowiedniejsze, ale i niełatwe. Nie, żeby się popisać. Absolutnie. Ale by pokazać bogactwo i piękno języka, różnorodność nazywań.

Często czytam słowniki. Tak! Czytam. Bo nie wiem lub nie jestem pewna. Bo trzeba być trochę niepewnym... Stale trzeba poznawać język, by móc się nim posługiwać. Świadomie. Manipu-

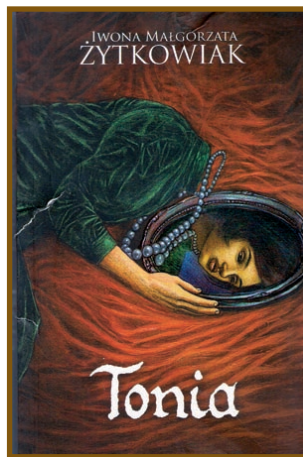
lować. Nie jest to złe, jeśli w zanadru nie czają się złe zamiary, jeśli nie traktujemy języka jako broni. Ja traktuję język jako narzędzie, bardzo ważne społecznie, poznawcze, estetyczne. „Granice mojego języka są granicami mojego świata” – miał rację Ludwig Wittgenstein, filozof zajmujący się kwestiami języka i logiki. Słowa są najważniejsze. Są źródłem wszelkiego dobra i zła, wywołują konflikty i je łagodzą.

– Jak zbierasz pomysły do swoich powieści? Czy obserwujesz realia Twojego miasta, zapisujesz usłyszane wyrażenia, gromadzisz ciekawe biografie?

– Nie kolekcjonuję pomysłów. One przychodzą same. Niekiedy na pozór nielicząca się impresja staje się owym zapłonem i zaczyna rozrastać się do zdarzenia, a to z kolei przyrasta o zdarzenia poprzednie, następne i tworzy się z tego łańcuch przyczyn i skutków. Czasem jest to imię, które mi kołocze w głowie i dla którego poszukuję bytu. Tak było z Tonia. A czasem to fantazja w czystej formie. Jak w przypadku „Tam, gdzie twój dom”. Choć tu wiele godzin poświęciłam na szperanie, czytanie, wywiady... I wszystko po to, by uprawdopodobnić to, co wykuło się w głowie.

Niekiedy mam wrażenie, że niczego nie wymyślam, a jedynie zapisuję rzeczy zastane, tworzę mariaże tysięcy miejsc, sytuacji, ludzi, zdarzeń... Ktoś kiedyś powiedział, że Szekspir napisał już wszystko i w pewnym sensie zgadzam się z takim stwierdzeniem. Nie jestem w stanie wymyślić nic nowego, zresztą nie tylko ja. O czymkolwiek pomyślę, zaraz mam wrażenie, że gdzieś to już było albo całkiem blisko znajduję jawną egzemplifikację. Tak więc nowe treści powstają na skutek ich różnorodnego przemieszania, a inną jakość nadaje im forma.

Na pewno nie kopiuję postaci, ale jeżeli ktoś doszukuje się jakiegoś podobieństwa, to znajdzie, szczególnie gdy bardzo chce. Kiedy znajomi wypytywali mnie wprost, pewni, że właśnie udało im przyporządkować bohaterki z powieści do postaci faktycznych. I dobrze! I ja się wówczas bardzo cieszę, bo uważam, że dopiero uprawdopodobnienie świata przedstawionego sprawia, że tekst określa się jako wciągający. Świat, który nie zaistnieje wewnątrz mnie, który jest mi obcy lub niezrozumiały, nie jest w stanie nikogo zatrzymać przy książce. A już na pewno nie sprawi, że książka stanie się



bliska czytelnikowi. Z pisaniem jest podobnie. Jeżeli piszę coś i czuję, że jest to tylko jakaś extra fabulacja pozbawiona znamion prawdopodobieństwa, to po kilku odczytaniach wyrzucam to do kosza. Bo świat przedstawiony przez mnie musi się najpierw uprawdopodobnić we mnie. I kiedy zaczynam żyć życiem moich postaci, kiedy przeżywam ich emocje, wówczas zyskuję większą pewność, że po prostu jest okej.

– **W jakim stopniu Twoje bohaterki są podobne do znanych Ci osób?**

– Nie kataloguję ciekawych biografii w sygnowanych szufladkach, ale mam, oczywiście, osoby, które chciałabym opisać. Jedną z takich postaci jest moja ciotka o arystokratycznie brzmiącym imieniu Delfina, która była szalenie ciekawą postacią i chciałabym, aby historie, które de facto były jej udziałem, stały się kanwą mojej powieści o tytule „Opowieści Delfiny”. Ale to plany... Jeden z projektów, które czekają na realizację.

– **Jaki jest Twój proces pisania powieści? Masz plan akcji? Znasz tylko zakończenie?**

– Bywa różnie. Kiedy nadchodzi mnie pomysł, to zazwyczaj wiem, jak powieść się zacznie i jak chce, by się skończyła. Ale w trakcie pisania, a trwa to około roku, półtora, dokonują się pewne modyfikacje. Bywa, że tak dalece wchodzę w postać, tak emocjonuje mnie ona, że daję jej nowe zestawy zdarzeń i relacji. Wtedy muszę poprzestawiać wszystko inne, bo jestem pewna, że to w tej właśnie postaci musi tkwić punkt ciężkości fabuły. Dzieje się tak zwłaszcza, gdy główny bohater nie jest jednoznacznie zarysowany.

Zawsze robię notatki. Moje postaci muszą posiadać genealogię, ba, rozrysowuję im drzewa genealogiczne, z datami urodzin i śmierci, z koligacjami rodzinnymi, z imionami i nazwiskami. Człowiek nie może po prostu wypaść sroce spod ogona. Musi być skądś. Kiedy pisałam „Tam, gdzie twój dom”, musiałam sytuować postaci w miejscu i czasie, zdobywać wiedzę o minionych latach (wciąż po to, by uprawdopodobnić). Powieść zaczęła mi się rozrastać w sagę. W końcu opisywałam trzy pokolenia kobiet od lat 30. do współczesności! Szmat czasu! Mnóstwo zdarzeń, wypadków! Pisałam, pisałam i końca nie było widać. Byłam coraz bardziej zdesperowana, bo nie planowałam wielotomowej sagi. I nagle którejś nocy (bo to nocą przychodzą do mnie bohaterowie, snują się, by dać im byt) rozwiązanie nadeszło. Nagle poplątane sznurki, jak w teatrze marionetek, odzyskały swój porządek i to, co miało się rozplątać, rozplątało, a to, co miało pozostać niedomówieniem, pozostało z uczuciem lekkiego niedosytu.

– **Jaki wpływ na Twoje powieści ma Twoja rodzina?**

– Mam dużą rodzinę. Czterech synów, synowe i wnuczka (lada moment). I oczywiście mama... Jaki mają wpływ? Żadnego. Może o tyle tylko albo aż tyle, że mąż zapewnia mi względny spokój, kiedy piszę, także jest moim pierwszym czytelnikiem i krytykiem, niekiedy nawet cenzorem. Na przykład oburza się na pewne wulgaryzmy, które trafiają się w moich powieściach i sugeruje eufemizmy, by złagodzić. Natomiast dość nieugięta jestem w przypadkach, gdyby ktoś zamierzał ingerować w treść.

– **Dlaczego Twoimi bohaterkami są tylko kobiety?**

Bo kobiety są fascynujące. I chętne do opowieści. Niosą swoje życie otwarcie. Wszystko, co jest ważne, interesujące, niebezpieczne czy w jakikolwiek inny sposób pobudzające emocje, cały ich arsenał od miłości po nienawiść, wiąże się ze światem kobiet i tylko one umieją je ukazać. Mężczyźni kryją się, zaskorupieni w sobie niewiele pokazują, choć to oni są owymi prowokatorami i pod ich wpływem wyzwalane są damskie emocje. Tak więc świat kobiet jest niewyczerpanym źródłem tematów.

– **Dlaczego mężczyźni mają w losach tych kobiet zdecydowanie drugorzędne znaczenie?**

– Siłą rzeczy. Jeśli poniekąd programowo postanowiłam pisać o kobietach, to mężczyźni muszą stanowić tylko (choć może aż) kontekst.

– **Ile razy czytasz powieść, nad którą pracujesz?**

– Bardzo dużo razy i nigdy nie jestem z tego, co napisałam, zadowolona. Zawsze można lepiej... Ale czasem po prostu boję się coś zmienić, by nie naruszyć konstrukcji, a czasem najzwyczajniej żał mi słów, które rodują się w bólach, a potem muszę je, ot! jednym przyciskiem klawisza wyrzucić. Cofam się... A to mnie zniechęca.

– **Czy czytasz swoje powieści po wydrukowaniu?**

– Tak. Zdecydowanie. I często bywam zdumiona tym, co napisałam, choć oczywiście mam świadomość, że żadna z moich powieści nie jest taka, o której mogłabym pomyśleć: skończona, doskonała, bez potrzeby jakiegokolwiek modyfikacji. Zawsze kolejne czytanie, gdyby była tak możliwość, wiązałoby się z kolejnymi zmianami.

– **Co dziś myślisz o swoich doświadczeniach z wydawcami?**

– Oficjalnie, bez bólu i sentymentów, rozstałam się z wydawnictwem, które wypuściło „Tonię” i... pozwoliło jej utonąć... Moim wydawcą jest teraz „Prószyński i S-ka”, z którym podpisałam umowę na 10 lat. Ostatnia moja książka weszła do promocyjnej akcji „Gwarancja dobrej książki”. Jest dobrze.

– **Czy masz już następne powieści gotowe do druku?**

– Są złożone u wydawcy i czekają na rozwój wydarzeń. Jedna to „Ona – Nina, ja – Joanna”, druga „W kręgu”. Na warsztacie mam kolejną, w zamyśle kilka.

– **Nad czym teraz pracujesz?**

– Zainspirowana starohebrajską kabalistyczną opowieścią o domniemanej pierwszej żonie Adama, Lilith, zamierzałam dokonać współczesnej transpozycji tej historii. Tym bardziej że Lilith ma szalenie intrygujące konotacje. Archetyp Lilith ściśle wiąże się z niezintegrowaną animą – żeńskim aspektem naszej psychiki. Ciemnym, mrocznym, symbolizującym lęk, niepewność, cierpienie. Ale jerychońskie głosy trąb, jakie ozwały się z związku z ideologią gender i ewentualne późniejsze reperkusje, będące różnymi nadinterpretacjami, odwiodły mnie od pierwotnego zamysłu, choć kręgosłup powieści pozostał.

– **Czekamy więc na następne książki.**



GALERIA KOBIET

„Sabina przyjechała na Kozią”. Od takiego krótkiego zdania rozpoczyna się książka Iwony Żytkowiak „Kobiety z sąsiedztwa”.

Sabina przyjechała na ulicę Kozią w Barlinku. Autorka od urodzenia mieszka w Barlinku i w tej książce opisała prawdziwe miejsca, ulice, a nawet domy. Ulica Kozia też naprawdę istnieje, biegnie w sąsiedztwie jeziora i rynku. Ta konkretyzacja powoduje, że losy bohaterów książki też przyjmujemy jako autentyczne.

Sabina przyjechała na Kozią, żeby sprzedać mieszkanie w bloku, w którym się wychowała. Podczas krótkiego pobytu w starym mieszkaniu spostrzega kilka kobiet, które znała wcześniej: starsze już panie z pokolenia jej rodziców i koleżanki z lat szkolnych. Książka jest opowieścią o losach sześciu kobiet, które wiązały wspólny adres. Zdaniem autorki każdą kobietę na zawsze kształtuje rodzina i środowisko, w jakim wzrastała. Ani wykształcenie, ani wyjazd do innego miasta nie mają wpływu na charakter kobiety i jej los. Te zostały wytyczone w dzieciństwie, ukształtowane zostały bardziej przez społeczne niż polityczne uwarunkowania, jak porzucenie matki przez ojca, jak lekki tryb życia babki i matki, jak późno odkryta prawda, że prawdziwą matką nie jest ta, co wychowuje, jak tragedia wynikająca z niemożliwości zajścia w ciążę. Tylko jedna książka, a kobiecych losów tak wiele.

Sabina, która przyjechała na Kozią, także wyciąga wniosek z konfrontacji z przeszłością. Chcecie wiedzieć jaki? Przeczytajcie książkę.

Iwona M. Żytkowiak, Kobiety z sąsiedztwa, Warszawa 2013, wyd. Prószyński i S-ka, s. 336.

DOM JEST RUSZTOWANIEM

Opowieść zaczyna się od tego, że Róża Kanenberg siedzi w swoim pokoju i myśli, co się wydarzyło przez lata. A wydarzyć się mogło przez te lata dużo, bo minęło pół wieku. I nagły telefon od przyjaciółki wytrąca ją z równowagi.

Tak się zaczyna opowieść wysnuta przez Iwonę Żytkowiak w jej najnowszej powieści „Tam, gdzie twój dom”. To opowieść o kobietach, o trzech pokoleniach kobiet, które dawały sobie radę w życiu bez mężczyzn. Bo jak już się jakiś trafił na ich drodze, to zawsze jakby wybrakowany. A to gnębą go problemy z alkoholem, a to nagle tęskni do utraconej ojczyzny i do niej ucieka, zostawiając żonę i córki bliźniaczki.

Całość akcji dzieje się w Mieście, pod tą nazwą kryje się zresztą dość łatwy do odszyfrowania Barlinek, czyli miejscowość rodzinna autorki. Pojawiają się też obrazki z Gorzowa oraz Szczecina, gdzie jedna z głównych bohaterek się uczy, a potem studiuje.

To właśnie Róża Kanenberg, którą los długo zwodzi, bo jakoś nie potrafi sobie ułożyć życia. Ma syna, wyjeżdża pod Toruń do pracy w szkole, w międzyczasie rozpada się życie osobiste jej siostry, pojawiają się opowieści o babce Ewie i matce Anieli.

Kolejnym ciekawym bohaterem jest samo Miasto. Autorka w szczególnie interesujący sposób pokazuje, jak funkcjonują małe miasteczka, jak mieszały się ze sobą różne napływowe nacje, jak długo ludzie potrafią chować urazę, zazdrość czy inne podobne cechy. Jak do tej pory to jedna z nielicznych książek, w której można poczytać o bardzo niełatwym wrastaniu w tę ziemię, o bardzo niełatwym tworzeniu się jednego społeczeństwa.

Kolejną wartością jest język. Autorka wyposaża w odrębne języki wszystkich swoich bohaterów. Inaczej mówią Róża i jej pani dyrektor, inaczej wiejskie kobiety, które długo dziwią się, że pani magistrowa przyjechała na takie odludzie uczyć polskiego wiejskie dzieci. I właśnie język tylko dodatkowo uwiarygodnia poszczególne postaci, sprawia, że są żywe, odrębne.

No i w końcu dom, stara poniemiecka kamienica, która tak naprawdę spaja wszystkie wątki, jest takim rusztowaniem całej powieści, bo w dość subtelny sposób wszystko się wokół tej kamienicy kręci.

Jedynym zastrzeżeniem, jakie można mieć, to happy end, bo w taki sposób kończy się ta opowieść. Ale z drugiej strony, dlaczego nie, dlaczego losy bohaterów mają się zakończyć kolejną tragedią, kolejną klęską?

Autorka ułożyła swoją opowieść jak patchwork, nie ma narracji linearnej, tylko poszczególne opowieści dopełniają się nawzajem. Taka konstrukcja powoduje, że książkę czyta się bardzo dobrze, bo czytelnik czeka na dalsze losy wybranych bohaterów. Inna rzecz, że losy i zawirowania niektórych są niezbyt czytelne. Nie bardzo wiadomo, dlaczego Ewa, prostytutka rodu, musiała się przenieść w czasach międzywojnia do późniejszego Barlinka,

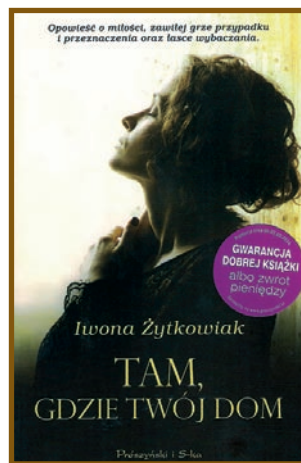
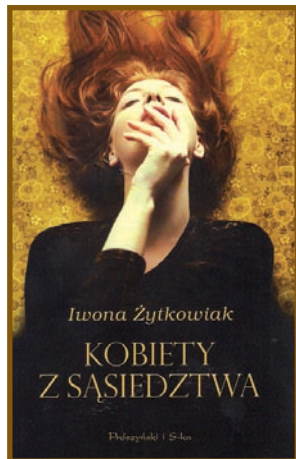
nie bardzo jest jasne, czym się zajmował jej mąż, Wojciech. I czytelnikowi może trochę brakować akurat tych informacji. Podobnie zresztą nie bardzo wiadomo, skąd Ewa zna świetnie niemiecki. Takich pytań można postawić jeszcze kilka, ale one w żadnej mierze nie odbierają przyjemności lekturze.

Iwona Żytkowiak napisała dobrą książkę, którą się dobrze czyta, ale też i taką, że chciałoby się, aby miała kontynuację. Bo jakoś

tak się dzieje, że kiedy czytelnik zaprzyjaźni się już z bohaterami, to potem nagle i szybko musi się z nimi pożegnać. A tak naprawdę to chciałoby się wiedzieć, jakie losy spotkają Różę czy Anielę wróci z Niemiec i czy syn Róży, Michał, też nieudacznik, jak i jego poprzednicy, nareszcie ma szansę przerwać owo zakłęte koło fajtlapstwa facetów w tej rodzinie.

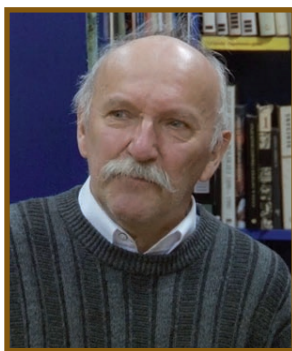
Renata Ochwat

Iwona Żytkowiak, Tam, gdzie twój dom, Warszawa 2014, wyd. Prószyński i S-ka, s. 476.



NOTATKI Z GORZOWA

Czesław Sobkowiak



1. *Dokładnie 20 lutego* pierwszy raz w życiu zdarzyło się coś takiego, że byłem oczekiwany i powitany, ku swemu zaskoczeniu. Przekroczyłem próg Biblioteki im. Z. Herberta, otworzyłem szklane drzwi pięknego, nowego budynku. Pani Danuta Zielińska od razu dostrzegła mnie i szklaną windą pojechaliśmy na piętro, gdzie w sali zaplanowane zostało spotkanie. Tu zobaczyłem Annę Żłobińską, która jest autorką bardzo ładnych wierszy w zbiorze „Stapanie po szkłe”. Sala jeszcze nie była zapelniona, ale przybywało z każdą chwilą sporo osób, którym nazwisko Zdzisława Morawskiego nie brzmiało obco. Obecny był Marek Piechocki. Zjawiła się pani Maria Morawska. I inni – miejscowi poeci, pisarze, w końcu także Ireneusz Krzysztof Szmidt, dla którego ten dzień również był ważny, gdyż wieńczył wielomiesięczną, żmudną pracę nad wyborem wierszy „Rzecz o dorzecznosci” istotnego dla Gorzowa poety, ale zarazem istotnego szerzej, czyli właśnie wzmiankowanego wyżej Z. Morawskiego.

2. *Odniosłem wrażenie*, że klimat dla literatury w tym mieście nad Wartą jest dość przychylny. Biblioteka współpracuje ze środowiskiem literackim, czego dobrym przykładem może być choćby regularnie od lat ukazujące się pismo „Pegaz Lubuski”, dający możliwość publikacji i oceny twórczości. Wartościowy również dlatego, że ma zdolność pozyskiwania autorów spoza regionu, co podwyższa jego rangę. Oczywiście „Pegaz...” jest cenny przede wszystkim ze względu na ciągłość istnienia. To na pewno wymaga wytrwałości i determinacji. Bo samo nic się nie robi. Redaktorzy muszą regularnie pracować, by jego 24 strony wypełnić własnymi lub innymi tekstami.

3. *Wybór wierszy Zdzisława Morawskiego* zatytułowany został niezwykle trafnie – „Rzecz o dorzecznosci”, bowiem na idei właśnie „dorzecznosci” zbudowana została cała idea artystyczna tego poety. Jest obszerny i dobrze, gdyż takich książek o całościowym podejściu do dorobku nie robi się często. Czasami pośmiertnie tylko jeden raz. Autor wyboru – I. K. Szmidt pokusił się o zaproponowanie własnego układu. Mówiąc inaczej: o własne odczytanie tej poezji. Rzecz ciekawa, że temu zabiegowi ta twórczość z łatwością się poddała. Świadczy to o jej dojrzałości intelektualnej, rozmachu tematycznym, wielorakiej inspiracji i różnorodnych zadaniach, wyzwaniach formowanych w zależności np. od sytuacji społecznej przed samym sobą – twórcą. Autor wyboru mógł więc z powodzeniem pogrupować te wiersze w pewne sekwencje tematyczne, poświęcone np. ciału, pracy, pejzażowi, sztuce poetyckiej. I w każdym miejscu tego układu spotykamy tego samego Morawskiego, z jego tonacją głosu, konsekwencją obrazowania, zawsze odwołującego się do realności i rzeczy, stroniącego od jakiegokolwiek skazy sentymentalnej. Zawsze starającego się po swojemu, oryginalnie budować lub kreować swoją poetycką przestrzeń. Lecz, co ciekawe, mimo za-

znaczanej wręcz uparcie chropowatości materii, jej niedającej się ominąć wręcz nachalności, nieodstępności od codziennego doświadczenia, która z premedytacją jest pozbawiana łatwych, chwytliwych powabów, upiększeń, zmiękczeń i koloryzacji, która trzeszczy raczej, ujawnia zgrzyty, twardość, ale i łączy się z nią (materią lub rzeczą) ciężar pracy, aniżeli kłiwość i wpadająca w ucho melodyjność, to ta poezja zachowuje w swoim wnętrzu dozę lirycznej kłiwości. I tyleż samo akceptuje świat, co z nim się wadzi Wiersze oczywiście zdają się być robione,

prawie tak samo, jak robiony jest stół, lina konopna, drzwi, witraż, krata kowalska. Poeta widzi siebie bardziej w roli rzemieślnika aniżeli kogoś natchnionego, który swoje prawdy by chciał wieścić w wysokich, podniosłych tonacjach. Wiersz ma dawać człowiekowi bardzo wyraźnie zaznaczoną wiarygodność i sprawdzalność. Wszystko więc musi być u Morawskiego dotknięte, sprawdzone, policzone we wszystkich wymiarach i odniesione do podstawy. Tam zweryfikowane. Jeśli ma być prawdziwe. Wolne od pozorów i ułudy. Tak w życiu jak i w sztuce. Musi też być uwzględniona, i bywa uwzględniona, zwyczajność życia, jej treść i oddech, sprawy prostych ludzi, do których Morawski często nawiązuje. Można się zastanawiać, skąd się u niego wzięła ta niesamowita jakby nie patrzeć determinacja, która przecież jawi się jako świadomie przyjęte ograniczenie, ta niechęć do odrywającej poetyzacji – powiedzielibyśmy. Niechęć jednak nie skutkująca wcale skłonnością do turpistycznego ujęcia. Przypuszczam, że wzięła się z przyjętego i kultywowanego laickiego światopoglądu, któremu patronuje racjonalizm poznawczy, ale i mają te wiersze ważny wkład biograficznego ciężaru. Cierpienia. To od czasu do czasu, choć nie pierwszoplanowo, dochodzi do głosu. Poeta więc na wskroś, aż do rdzenia, konsekwentnie przesyca swoje widzenie wysiłkiem obiektywizacyjnym, dystansem, który nie pozwala brnąć w mroczności bądź mgławicowe nieokreśloności. To byłoby tutaj nie do przyjęcia. Morawski chce nad materią panować: *Materia jest dzika / Trzeba ją ujarzmić*. „Ujarzmić” sensownie, z myślą o pozytywnym nastawieniu do rzeczywistości, a nawet z optymistyczną ufnością i wiarą w jej jutro. Te przekonania u niego nieustannie się formowały, jakby za każdym razem od nowa i od innej strony. Nie dozwalały na możliwość popadania w bylejakość. Nie znosił teje u poetów z najbliższego kręgu. Pisał o tym w tonie wielkiej dezaprobaty. Apelowal o wysokie kryteria w swej publicystyce, ale i, np. w wierszu adresowanym „Do Furmana”: Zrób aby wiersz twój był w rozwoju pakiem. Towarzyszy jego głosowi, to się słyszy, poczucie solidarności z ludźmi prostej proveniencji, ale i doza jakiejś dobroci, towarzyskości. Jakże uroczo objawia się ta cecha w wierszach poświęconych Gorzowowi, tych chwalcących urok jego ulic („Wodnej”) czy nadwarciańskich łąk. Można też rzec, iż w poezji Morawskiego ma miejsce dostrzegalne, powolne przechodzenie od nastawienia badawczego, definiującego rzecz (jakby wywiedzione od Norwida, a zarazem wzbogacone poetyką awangardy krakowskiej, szczególnie Tadeusza Peipera), ku uspołecznieniu owej dorzecznosci, w owym „Zadawaniu się z ludźmi”. W wierszach tego typu Morawski osiąga pełnię swojego artystycznego wyrazu (np. poemat, tchnący dojrzałą refleksją, „Ziemia dla żywych”). Tworzy więc Morawski

z biegiem czasu coraz głębszą, wielowątkową narrację, wzbogaca ją codziennymi realiami, pyta o to, „co po mnie ostanie”, ale też eksponuje dojrzałość swojej egzystencjalnej refleksji. Daje ona o sobie znać w wielu utworach bardzo osobistych, w nawiązaniach do postaw klasycznych (np. „Toast Sokratesa”, „Wyznanie Cycerona”). W niczym nie naruszając spójności światopoglądowej całego dokonania twórczego. Przez to wszystko Zdzisław Morawski jest nie tylko dla Gorzowa poetą ważnym. Nie bez przyczyny Artur Sandauer wysoko ocenił jego poezję. Myślę, że po okresie dość długiego przebywania w swoistym czyścicu literackim teraz jest szansa, by walor jego poezji i legenda niepospolitej postaci mogły rosnąć.

P.S. Bardzo się mylił A. K. Waśkiewicz, stawiając poezję Kazimierza Furmana wyżej nad dorobek autora „Rejsu przez ciche źródła”. To są dwa różne, nieporównywalne przecież obszary liryczne.

4. *Bardzo mnie zaskoczyła* (na koniec tamtego spotkania w bibliotece) i nie ukrywam, że zarazem wzruszyła, deklaracja Irka, iż dopóki mu starczy życiowych sił, będzie starał się pracować dla pamięci o gorzowskich pisarzach. Potem sprytnie zawieruszyły się, tzn. schowały, jak to rzeczy czasem potrafią, moje okulary do czytania, i narobiłem tym faktem chyba sporego zamieszania. Ale szczęśliwie dały się odnaleźć ku memu zadowoleniu. Mijał wieczór. Odczuwalne były wiosenne, w lutym, tchnienia natury, winogrona na ścianie domu oczekiwały na liczne przycięcia, kot nie wracał z nocnego ugania się za kotkami. Na ekranie telewizora ludzie na kijowskim Majdanie niezłomnie, z narażeniem życia, walczyli o swoją przyszłość. Podawano liczbę zabitych od kul usadowionych na dachach snajperów.

5. *Lamus*. Kiedyś czytałem to pismo z przyjemnością, bo było w nim zawarte swoiste lustro; to wszystko, co istotnie składało się na obraz i dokonania kultury gorzowskiej. A więc literatury, teatru, sztuki, życia społecznego. Właśnie wtedy (dawno, za czasów Eugeniusza Wieczorka) w „Lamusie” drukowałem swój rozległy esej o poezji Zdzisława Morawskiego, który teraz po pewnym zmodyfikowaniu, znalazł się w wyborze jego poezji „Rzecz o dorzeczności”. Także moje wiersze o Dowgiewliczowej, Papuszy i Gordonie tu się znalazły. Pismo było żywe ze względu na różnorodność i aktualność poruszonych spraw. Teraz od dłuższego czasu widać, że wyraźnie zawężił się obraz rzeczy w nim prezentowanych. Zrobiło się, ku mojemu zaskoczeniu, trochę takie według zasady sobie a muzom. Nudnawe. Szkoda, bo z tego powodu już mowy nie ma o żywym odniesieniu do otaczającego go szerokiego kontekstu kulturalnego. Co dla kreacji jego wartości mogłoby być ważne. Nie twierdzą, że teksty głównie poświęcone architekturze, urbanizacji, organizacji przestrzeni miejskiej nie są istotne w ogóle, w końcu to pewnie jakieś fragmenty uniwersyteckich prac, ale ile tak można, z numeru na numer, ciągle o tym samym lub podobnym?

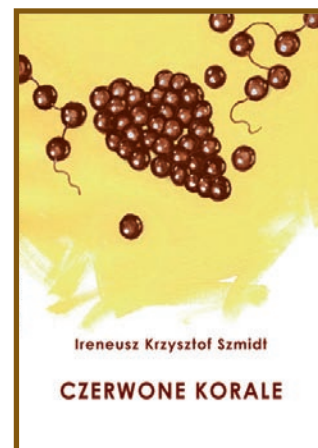
6. *Debiut prozatorski Magdy Turskiej „Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy”* zwrócił moją uwagę. Z jednej strony pokazuje najbliższe, złożone, obecne realia swojego życia, migotliwość rzeczywistości zewnętrznej i wewnętrznej, a z drugiej, przywołuje sporą dawkę biograficznych wspomnień, przeżyć i doświadczeń, np. ze studiów, z pobytu w Anglii, fascynacji specyficznym klimatem różnych



dzielnic Londynu. Korzysta autorka z dobrodziejstw Internetu, więc sięga co rusz do zawartych w Googlach definicji i opisów idei i rzeczy, przez co chce poszerzyć zakresy leksykalnych znaczeń. I dobrze. Choć czasem czyni to jakby nazbyt ostentacyjnie, technicznie, przerywając tok narracyjny, przez co nazbyt widoczne stają się szwy tego prozatorskiego garnituru. Kosmos rzeczy uwodzi, otacza nas kosmos, on może fascynować i wielorako inspirować, daje się wprowadzać bez ograniczeń, ale

i wynikają z tego różne zagrożenia chaotyzyacji. Autorka ujmująca dość emocjonalnie obraz życia jednak lubi uruchamiać ten sposób literackiej kreacji. Moim zdaniem trochę traci jej proza w tej książce także na za dużym, manierycznym kulturowym akcencie papierosowym, głodzie nikotynowym, nałogu i jego konsekwencjach. Za dużo tej tytoniowej obsesji „światem dymu”. Też ów pomysł z Jasielem, uczniem, trochę ciekawy, a trochę sztuczny. Chyba jednak potrzebny, bo pozwala raz po raz otwierać inne widzenie wewnętrznych konfrontacji i rozterek. Pozwala odskakiwać od siebie. Spojrzeć na chwilę oczami chłopca-ucznia. Ta książka jednak pokazuje, że wszystko w prozie można, bo to taki bardzo obszerny worek, więc nie musi mieć (narracja) nazbyt ściśle określonego celu, byleby się toczyła. Co najwyżej dokona się pewnych minimalnych uporządkowań, jakiegoś zaznaczenia sekwencji i będzie dobrze. Mogę nawet takiemu podejściu przyklasnąć. Zwłaszcza że ta proza nie jest pozbawiona sprawności, wnikliwości obrazowania, rzutkości pomysłów, zaskoczeń, niespodzianek. Tak. Byleby ta rewelacja i fascynacja światem nie służyła zanadto samej sobie, naiwnie i beztrudnie, a miała w swojej materii jeszcze zawarty aspekt człowieczego losu. Coś z uporządkowania i coś z refleksji nad życiem, którą znaleźć można np. w „Po powrocie” lub „Perseidach”. Może w pierwszej książce jeszcze nie miejsce na to. Ale w następnej już konieczne. Chcę mieć taką nadzieję, bo autorkę niewątpliwie cechuje bystrość obserwacji, inteligencja, pomysłowość, umiejętność uszczegółowienia, a więc narzędzia są.

7. *Natomiast najnowsza książka prozatorska Ireneusza Krzysztofa Szmidta „Czerwone korale”*, od strony formalnej i tematycznej patrząc, stanowi zupełne przeciwieństwo książki Turskiej. Temat, czyli przedmiot narracji, zakres jej przestrzeni, jest wyraźnie zaznaczony, nadmorski, a ponadto, co też dla jej czytelniczego odbioru jest nie bez znaczenia, ta książka opowiada lub przedstawia (jak kto woli) nie tyle natłok, wielość, zawiąkanie, co różnorakie ludzkie historie i doświadczenia.

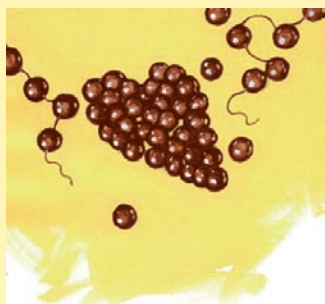


To czyni ją bardzo klarownie skuteczną w przykuwaniu czytelniczej uwagi. Bo dużo tu jest, w poszczególnych opowiadaniach, ludzkiego losu i rysu psychologicznego, napiętności i zmagania się z uczuciami czy emocjami. W tytułowych „Czerwonych koralach” miłość, zdrada, zazdrość, śmierć, które dotyczą poszczególnych bohaterów, potrafią wywierać bardzo silne lekturowe piętno. Los ludzi tu widać jak – powiedziałbym – na ekranie. Są poddani żywiołowi życia, zmagają się ponadto z żywiołem morza. Pracują na statkach, kutrach rybackich, ale na lądzie, w mieście portowym czekają ich inne sprawy, przygody z kobietami, może również trudne, jeśli nie trudniejsze, gdyż dotyczą ich serc, uczuć i myśli. Myślę, że taki prozatorski wyrazisty obraz może znaleźć swego czytelnika. Sam doświadczałem tego rodzaju skupienia, kiedy czytałem ten zbiór prozy. Szmidt ma zdolność budowania nastroju i nostalgicznego napięcia na styku świata kobiet i mężczyzn, wszystkich z tego tytułu wynikających relacji. Zauroczenia i miłości. Są to w zasadzie okrucieństwem naznaczone historie („Ślepy”, „Zielone oczy Ludwika”, „Dobry kumpel Feliks”), które poruszają czy nawet wstrząsają.

Pisze autor o tym wszystkim zdaniem prostymi. Bez nadmiaru wikłania się w wiwisekcje. Pamięta się te jego narracje – powiedziałbym – miłosno-erotyczne, gdzie sporo słów poświęca pięknu kobiecemu. Dodał do tych opowiadań także utwór dramatyczny „Medea”, z powodzeniem wystawiony w teatrze (prapremiera – listopad 2000, w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie). Książka została opatrzona ładnymi rysunkami autorstwa Zbigniewa Olchowika, korespondującymi z treścią literacką. Dodam tylko, że omówione tu książki zostały wydane w Bibliotece Pegaza Lubuskiego, dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Miejskiego w Gorzowie.

8. *Do domu wracałem następnego dnia pociągiem.* Mięły krajobrazy lasów, szarych pól, łąk, bagien, jezior, wiosek, stacji kolejowych. Oddawałem się refleksji, zamyśleniu nad prozą i pięknem życia. Gdzieś stało auto, gdzieś był piękny, zadbanej dom, stali na skarpie mężczyźni. Dziewczyna malowała swoje brwi. I tak to było.

Czesław Sobkowiak



CO PROZĄ JEST, CO POEZJĄ?

„Biblioteka Pegaza Lubuskiego” wzbogaciła się o kolejną, już 44., godną uwagi książkę. „Czerwone koral”. To 96-stronicowa publikacja, która niejednego zadziwi i wzruszy. Kiedy przeczyta się tytuł, niemal nie można się oprzeć, aby nie zaśpiewać fragmentu znanego przeboju jednego z polskich zespołów, jednak okazuje się, że zupełnie nie o to chodzi.

Nowo wydane dzieło jest o tyle ciekawe, że to bodaj pierwsza prozatorska książka autora, który – zdawać by się mogło – parął się do tej pory tylko reżyserią, poezją i krytyką. Jednak biorąc pod uwagę twórczość i „karierę” Ireneusza Szmida, należało się spodziewać również takiej książki. Bardzo estetycznie wydana publikacja zawiera w sobie tylko dziewięć utworów: kilka krótkich opowiadań, minicykl zatytułowany *Tryptyk prowincjonalny*, współczesną wersję dramatu *Medea*, a także opowiadanie *Podróże z ojcem*.

Czytając tego „nowego” Szmida, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że teksty są świeże, a jednocześnie dojrzałe. Było jednak coś jeszcze, spokój, wyważenie, uważne operowanie piórem, tak jakby autor nie mógł albo nie chciał użyć zbyt wielu słów. Bohaterowie wszystkich tych form są niemal uniwersalni, choć nie można odnieść wrażenia, że zawarte w książce utwory powstały niedawno. Przeciwnie – bardziej skłaniałabym się ku stwierdzeniu, że te teksty powstały kilka, nawet kilkanaście (kilkadziesiąt?) lat wcześniej i czekały, leżakowały, by w najbardziej odpowiednim momencie ujrzeć światło dzienne. Dlaczego napisałam „najbardziej odpowiednim”? Otóż dlatego, że wydając taką książkę akurat teraz, Ireneusz Szmidt, uznany poeta, krytyk i reżyser, pokazał nam swoją nową twarz. Nie zmienia to jednak faktu, że – jak napi-

sałam wcześniej – utwory, choć krótkie, tchną dojrzałością, co możemy zawdzięczać chyba tylko talentowi i wyczuciu autora. Bohaterowie nie są przerysowani, tak samo jak przedstawione w tekstach sytuacje, które mogłyby się przydarzyć każdemu i wszędzie. Co ciekawe, opowiadania skupiają się na losach prostych ludzi, może niewykształconych, może nieobytych w świecie, ale szczerych i prawdziwych. Autor pokazuje targające nimi uczucia, nie zawsze właściwie wyrażone. Prawie nie ma dialogów, są za to opisy, choć niezbyt obszerne, to jednak skreślone wprawna ręką.

Inaczej rzecz się ma z *Medea*, który to dramat, jak sam autor zaznaczył, jest „tragedią rodzinną niewiernie z Eurypidesa przepisana”. Jest to wersja niewątpliwie współczesna, choć nie odbiega od oryginału tak bardzo, jak autor sugeruje. Nieco inaczej jest zarysowana postać tytułowa, przedstawiona jako drapieżna, żądna zemsty kobieta, która nie cofnie się przed niczym, by zrekompensować sobie doznaną krzywdę. Dramat, w reżyserii samego Szmida, był kilkakrotnie wystawiany na deskach teatru (również w Gorzowie Wielkopolskim), jednak tu po raz pierwszy ukazał się drukiem.

Chyba najciekawszym opowiadaniem ze zbioru są *Podróże z ojcem: co prozą jest, co poezją?* Wierszowana proza i podtytuł sugerują, że tekst istniał wcześniej jako poetycki, a na potrzeby *Czerwonych koral* został zapisany prozą. Taki zabieg sprawił, że tekst czyta się niezwykle lekko, choć jego tematyka bynajmniej taka nie jest.

Po lekturze *Czerwonych koral* nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na kolejne publikacje Ireneusza Krzysztofa Szmida utrzymane w tej konwencji. Choć nie znałam twórczości tego autora od takiej strony, otrzymując kolejną książkę opatrzoną jego nazwiskiem, nie zawiodłam się. Kto raz stanie się Mistrzem, zostaje nim na zawsze.

Kinga Mazur

Ireneusz K. Szmidt, Czerwone koral, opowiadania i dramat, Biblioteka Pegaza Lubuskiego nr 44, ZLP O. Gorzów Wlkp. 2013, s. 96.

JEST CZY GO NIE MA?

Literacki debiut **Magdy Turskiej** pt. *Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy* to czterdziesta trzecia publikacja z serii „Biblioteka Pegaza Lubuskiego”. Autorka, urodzona w Wodzisławiu Śląskim, jest polonistką i bibliotekarką. Kto by pomyślał, że pracownica Gminnej Biblioteki Publicznej w Kłodawie stworzy tak interesujące dzieło?

Okładka książki jest bardzo skromna, biała z czarnymi literami i ilustracją narysowaną czarną linią z kolorowymi elementami. Wewnątrz zaś, na nieco ponad stu dwudziestu stronach zawarto sześć opowiadań. Myli się ten, kto twierdzi, że proza Turskiej należy do łatwych, lekkich i przyjemnych, jednak intuicja podpowiada mi, że na polskim rynku wydawniczym taka publikacja mogłaby być strzałem w dziesiątkę. Jak podpowiada tytuł, na książkę składają się małe prozy, a każda z nich dzieli się na jeszcze mniejsze. To może wprowadzać swego rodzaju dezorientację, bowiem różnej długości są zarówno poszczególne utwory, jak i ich części – nie można tego wszak poczytać za wadę.

Z tekstów wyziera obraz osoby wykształconej, mądrej, ocytanej, obojętnej. Pojawia się tutaj Salvatore Dali, próba reportażu, kilka terminów przytoczonych ze Słownika Języka Polskiego, Disney, Władysław Kopaliński, elementy dramatu, dygresje, sentencje, wspomnienia z dzieciństwa... Wymieniłam tylko kilka elementów, które przewijały się w tytułowym opowiadaniu. Nie wszystkie. Jaki był zamysł autorki, która na siedemdziesięciu pięciu stronach formatu szkol-

Co się może zdarzyć w międzyczasie?

Dość często używamy zwrotu „w międzyczasie”, ale co to jest ten „międzyczas”? Dla sportowców to określenie czasu, w jakim biegacz pokonuje odcinek całego biegu, ale pojęcie to przynależy do języka środowiskowego. Słowo to rozumiemy, ale w formie podstawowej na co dzień go nie używamy. A więc jest ten „międzyczas”, czy go nie ma? Magda Turska twierdzi, że nie ma, bo właśnie wydała bardzo interesującą książkę z przewrotnym tytułem „Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy”. Tytułowy „Międzyczas” to bardziej minipowieść niż opowiadanie, a „inne małe prozy” to pięć krótkich form prozatorskich. Wszystkie części tej książki wyróżniają się oryginalną konstrukcją, która dla autorki chyba jest nawet ważniejsza niż sam temat.

Bohaterka „Międzyczasu” namiętnie pali papierosy. Wini za to samą siebie, lecz nie może się wyzwolić z nałogu. Ale między jednym zaciągnięciem się papierosowym dymem a drugim tak dużo można zaobserwować, pomyśleć, wspominać, rozważyć. Właśnie w międzyczasie. Bohaterka pali papierosa, a w tym samym czasie przez jej oczy, mózg, percepcję przelatują różne często nieskoordynowane refleksje. Taki strumień myśli i odczuć. Porównywanie do skonstruowanego na tej samej zasadzie „Ulissesa” Jamesa Joyce’a może zbyt ambitne, ale narracja Magdy Turskiej jest, podobnie jak tam, wyłącznie subiektywna. Ażebym nie było zbyt artystowsko, od

nego zeszytu „upakowała” aż tyle informacji, w dodatku co jakiś czas zwracając się do czytelnika, jakby pilnując jego czujności? Za przykład niech posłuży cytat: „Kto lubi łańcuszki internetowe? Wspomniałam o nich już wcześniej, jeżeli uważnie czytasz, to pamiętasz”. Ja nie pamiętałam, więc chyba przez natężenie informacji w pewnym momencie przestałam czytać uważnie. Celnie skomentował twórczość Magdy Turskiej Ireneusz Krzysztof Szmidt, pisząc: „Proza Magdy Turskiej sama się nie czyta”. Nic dodać, nic ująć. Jeśli czytelnik poszukuje lekkiej lektury na leniwe, wolne popołudnie, tu jej nie znajdzie. Przy czytaniu „Międzyczasu...” trzeba mieć ciągle otwarty umysł, nie tracić czujności, gdyż autorka wspomnianego dzieła potrafi stworzyć kilkunastostronicowe rozważania na temat... niczego. A raczej „niczego” (Perseidy). Czytając, odniosłam wrażenie, że z każdego z opowiadań Magdy Turskiej, po dodaniu kilku opisów, dałoby się stworzyć pełnoprawne powieści, z których każda mogłaby zostać wydana w osobnym tomie. Autorka jednak zdecydowała się na umieszczenie ich w jednym woluminie, tak że każde z opowiadań można by opatrzyć rozszerzeniem: zip.

Cóż, być może wkraczamy w etap prozy skompresowanej, może spokojne historie z dającym się przewidzieć zakończeniem są już passé. Jeśli tak się właśnie dzieje, to Magda Turska jest na najlepszej drodze do stania się poczytną pisarką. Ja tymczasem wrócę jeszcze do jej książki, ale na spokojnie, we fragmentach. W międzyczasie. I pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie będzie to **międzyczas, którego nie ma**.

Kinga Mazur



czasu do czasu swoje refleksje narratorka zderza z uwagami chłopca, ucznia, który kieruje się po prostu zdrowym rozsądkiem. Pod jego wpływem zmieniają się racje narratorki, chłopak także jakby więcej rozumie, bo w międzyczasie, którego naprawdę nie ma, tak wiele może się zdarzyć.

Pięć pozostałych opowiadań też traktuje o relatywizmie w różnych aspektach ludzkich odczuć. Każde z nich ma świadomie wypracowaną, oryginalną konstrukcję literacką, np. tzw. szkatułkową, gdy do opowiadania jest wmontowany inny samodzielny, ale istotny dla całości tekst.

Książka „Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy” to debiut Magdy Turskiej. Z wykształcenia jest ona polonistką (to widać ze sposobu pisania) i bibliotekarką. Kieruje gminną biblioteką w Kłodawie w sąsiedztwie Gorzowa. W ostatnich latach bardzo zmieniają się biblioteki, a Magda Turska pokazuje, że również bibliotekarki. Jej opowiadania to naprawdę ambitna proza.

Książkę można kupić w księgarni „Daniel”.

Promocja w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta w dn. 26 marca (środa) o godz. 17.00. Tam sprzedaż książki po promocyjnej cenie, autograf za darmo.

Krystyna Kamińska

Magda Turska, *Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy*, Biblioteka Pegaza Lubuskiego nr 43, ZLP O. Gorzów Wlkp. 2013, s. 124.

WYTRZYMAĆ SPOJRZENIE ZŁA

W 1974 roku Leszek Elektorowicz opublikował powieść „Gwiazdy drwiące”, upamiętniającą losy jego ojca, który zginął w jednej z kolonii obozu Gross-Rosen. Wydanie tej książki było formą zmierzenia się autora z towarzyszącym mu obsesyjnym poczuciem winy wynikającym z faktu, że ojciec Elektorowicza został zabrany do obozu zamiast niego. To w opisanu jego losów pisarz poszukiwał sposobu na ponowne związanie „zerwanych nici przeznaczeń”, które dawniej łączyły go z ojcem. Próba ta nie mogła się jednak powieść. Opisane w książce wydarzenia powstały bowiem nie w oparciu o prawdziwe wspomnienia ojca Elektorowicza, a o zebrane przez pisarza relacje innych więźniów obozu.

Najnowszy tomik poezji Marii Borcz, zatytułowany „Spopieleni”, to bardzo podobna, lecz znacznie lepiej rokująca próba poradzenia sobie z jarzmem postpamięci. Trauma holokaustu – na poziomie emocjonalnym – naprawdę staje się udziałem jego autorki. Jest to możliwe dzięki nowatorskiemu zabiegowi, polegającemu na zbudowaniu przez Borcz dialogu z fragmentami pamiętników, w których jej ojciec – Jan Szembek – utrwalił swoje obozowe doświadczenia.

Wyjątkowy dialog toczy się w „Spopielenych” strona po stronie, co zaakcentowane zostało poprzez zastosowanie odmiennej czcionki oraz odpowiednie rozmieszczenie tekstów na kartach książki (prawdziwe relacje umieszczone zostały po stronie lewej, a nawiązujące do nich wiersze – po prawej). Na każde z wybranych wspomnień ojca przypada odpowiedź córki. Wszystkie te kontry przypominają echo odbijające głos Jana Szembeka i zwielokrotniające jego natężenie. Można powiedzieć, że poetka nie tylko „przepracowuje” i przeżywa opisywane wydarzenia razem ze swoim ojcem, ale także używa mu swojej siły. Dzięki niej cicha skarga byłego więźnia zamienia się w przejmujące wołanie i nabiera tak potrzebnego jej wyrazu. Efekty tego niezwykłego eksperymentu stają się szczególnie wyraźne w dwóch utworach. Pierwszy z nich zatytułowany „ty psie” stanowi odpowiedź na rodzące się w trakcie lektury tekstu Jana Szembeka pytanie o przyczynę bierności więźniów, którzy pozwalali bić się SS-manom, choć mieli nad nimi znaczącą liczebną przewagę. Jest ona zawarta w niezwykle trafnym – w moim odczuciu – porównaniu obozu koncentracyjnego do schroniska dla psów:

*jakie są różnice pomiędzy obozem
koncentrującym niewolników
a schroniskiem dla psów*

nie widzę większych

*chyba tylko te
że w schronisku psy gryzą
nie dają się zaszczuć*

Trudno o lepsze podsumowanie zwycięstwa kultury nad naturą, do którego dochodzić musiało w umysłach więźniów, a które obce jest zwierzętom zdominowanym przez samoza-



chowawczy instynkt. Drugi utwór pozwalający czytelnikowi poczuć na swojej skórze przeżywający dreszcz strachu, jaki nieodmiennie towarzyszył ofiarom hitlerowców, nosi tytuł „Melu”. Zawarty w nim komentarz, odnoszący się do zachowania uczestników apelu, elektryzuje!

*kto złu patrzy w oczy ten ściga
na siebie agresję*

(...)

*stoisz jak słup
wpatrzona w mozaikę z fekalii
boisz się podnieść wzrok*

by nie sprowokować

Czyż napadnięci na ulicy, zaszczuci przez kogoś, kto grozi nam bronią, nie zareagujemy w taki sam sposób?

Zdecydowanie największą zaletą nowego tomiku Borcz jest prosty rzeczowy styl, jaki autorka nadaje swoim wierszom. Pozwala on oddać okrucieństwo towarzyszące SS-manom i psychopatycznym naukowcom pokroju doktora Mengele. Czytając stwierdzenia, takie jak:

*skóra
świeżo przygotowana do garbowania*

będzie z niej piękny abażur

czy

*galki opatrzone literami i cyframi (...)
bladożółte i fioletowe były jakby zdziwione*

nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zostały one wypowiedziane właśnie przez oprawców. Bijący z nich dystans przeraża. Styl ten, dbający o formę i oparty na krótkiej wyczelowanej frazie, wzmacnia ponadto siłę przekazywanych treści, dodając im uniwersalności. Pojedyncze wersy, jak choćby: „zazdroszczę umarłym, mają to za sobą” lub „wydaje mi się, że wtedy nie żyłam” można interpretować nie tylko jako przemyślenia więźnia bądź jego potomka obciążonego jarzmem pamięci, ale także jako wyznanie podmiotu lirycznego cierpiącego na depresję. Osadzone w nowym kontekście z pewnością nie straciłyby swej siły i czytelności.

Na podkreślenie zasługuje ponadto fakt, iż wspomnienia swojego ojca Borcz uzupełnia wstrząsającymi relacjami innych więźniów: Vexlera Jancu, Ewy Kor, Ruth Elias, co pozwala jej stworzyć szeroki, wnikliwy obraz okrucieństwa, jakie rozegrało się w hitlerowskich obozach.

Za wiersz, poprzez który najdobitniej manifestuje się kategoria postpamięci organizująca narrację książki, z całą pewnością należy uznać utwór zatytułowany „Szymonie”. Padają w nim znamienne słowa:

*nie postawisz budowli na ruinach
musisz najpierw oczyścić plac*

Myszę, że napisanie tomu „Spopieleni” pomogło autorce częściowo ów plac oczyścić. Można powiedzieć, iż spojrziała ona złu prosto w oczy i przetrwała tę próbę, ani na chwilę nie odwracając wzroku. Oczywiście, jak słusznie podkreśla słynna badaczka zjawiska postpamięci, Marianne Hirsch, dzieci ofiar holokaustu nie są w stanie w pełni rozprawić się

z jego traumą. Pamięć, którą w sobie noszą, jest bowiem pamięcią zapożyczoną, rozgrywającą się w zastępczej przestrzeni i czasie, a co za tym idzie – niemogącą umrzeć śmiercią własną. To pamięć, która „raczej eksploduje niż przejdzie w zapomnienie”, czego dowodzi sprowokowany jej ciężarem niebywały wielogłos, jaki zaobserwować można w powojennej literaturze. Po każdej prawdziwej eksplozji na chwilę nastaje jednak głęboka cisza. W ciszy, którą pozostawia lektura „Spopielonych”, a która przypomina milczenie widzów opuszczających salę kinową po obejrzeniu filmów takich jak „Lista Schindlera” czy „Chłopiec w pasiastej piżamie”, tkwi nadzieja dla Marii Borcz. Jest to nadzieja na usłyszenie pełni własnego głosu, tłumionego dotąd przez ciężar odziedziczonych przez poetkę przeżyć.

Agnieszka Moroz

Szymonie

nie postawisz budowli na ruinach
misisz najpierw oczyścić plac

cichy szmer twojej skargi błąka się
po rubieżach
wyje spoza kolczastych korozji

męczeńska śmierć jest schedą pokoleń
wiem nie oczekujesz żałoby

a jednak nic tak nie boli
jak nieosądzone zbrodnie

Melu

kto złu patrzy w oczy ten ściąga
na siebie agresję

kał mocz i krew wdeptane w ziemię
tworzą błoto placu apelowego

szeregują was
odliczają wyrównują
wygłaszają przestrogi
nie słuchasz

stoisz jak słup
wpatrzona w mozaikę z fekalii
boisz się podnieść wzrok
by nie sprowokować

MARIA BORCZ

SPOPIELENI

Przed lekturą tomu wierszy **Marii Borcz** „**Spopieleni**” trzeba przeczytać krótki wstęp autorki. Zaczyna się tak: *Mój ojciec, Jan Szembek, był więźniem obozów koncentracyjnych Auschwitz, Birkenau i Oranienburg. Fizycznie uszedł z życiem, ale gdzieś w łagrach spopielilo się w nim to, co najistotniejsze – wiara w człowieka.*

Jan Szembek spisał swoje obozowe wspomnienia, można je przeczytać na stronie internetowej obozu w Auschwitz. Jego córka, Maria, urodziła się już po aresztowaniu ojca i poznała go dopiero, gdy wrócił z obozów. Obraz zmaltretowanego ojca, a potem jego przejmujące wspomnienia, stale były obecne w jej domu i w jej psychice. Choć niedługo minie 60 lat od zakończenia wojny, Maria Borcz, poetka, odczuła potrzebę podzielenia się nie tyle wspomnieniami, co przerażeniem tym, co niosła wojna, a równocześnie przestrogą przed nadużywaniem siły przeciwko drugiemu człowiekowi.

Tom „Spopieleni” ma oryginalną konstrukcję: na stronie lewej książki znajdują się fragmenty autentycznych wspomnień Jana Szembeka, a w końcowej części także innych osób, natomiast po stronie prawej – wiersze autorstwa Marii Borcz będące refleksją na opisany temat. Zarówno wspomnienia, jak i wiersze są krótkie, niezwykle celne, przerażające w prostocie. Jan Szembek pisze: *Przedemną przewraca się w błocie kolega. Natychmiastowy strzał zwalnia go z przejścia przez bramę tortur.* Maria Borcz widzi nie tylko tego jednego zabitego na miejscu, lecz wielu innych. Wiersz „O umieraniu”:

*co za różnica starość, pistolet, głodówka,
sznur, druty pod napięciem czy gaz*

i tak trzeba odejść

*Haniu Danielu Jakubie
już was nie zobaczę
lecz moja miłość jest ponadczasowa.*

Rzadko już do literatury naszych dni trafiają utwory o wojnie utrzymane w tonie żałoby. Oddając cześć tym, którzy stracili życie, Maria Borcz swojemu tomowi wierszy dała tytuł „Spopieleni”. Choć przeżył, jej ojciec wrócił z obozu psychicznie spopielony. Nawet ona, nosząc w sobie tylko jego wspomnienia, także czuła się w części spopielona. Musiała napisać te wiersze, by samą siebie wyzwolić. Ale także, byśmy my wszyscy nie zapomnieli i nie zobojętnieli.

Krystyna Kamińska

Maria Borcz, Spopieleni, Gorzów Wlkp. 2014, Biblioteka Pegaza Lubuskiego nr 46, wyd. ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp., s. 60.

Everyman z naszego świata

Główny bohater książki nazywa się Ryszard eR, a zapis tego niby nazwiska ma formę: małe e i duże R bez kropki. Podobnie zapisany jest tytuł książki Zioma Ziomeckiego „Akt eRosa”. Można więc czytać go jako Erosa – greckiego boga miłości i namiętności seksualnej, albo także jako akt głównego bohatera, czyli Ryszarda eR. Takich wieloznaczności będzie więcej.

Książka zaczyna się oryginalnie: od śmierci głównego bohatera. A jeśli jeszcze nie śmierci, to odchodzenia z tego świata, zatracania z nim łączności, zapadania się w siebie... Podobno w takim stanie wraca do człowieka całe jego życie.

Do czytelnika natomiast wraca całe życie Ryszarda eR w 60 rozdziałach. Można te rozdziały czytać w układzie zaproponowanym przez autora, ale także tam, gdzie stworzył się tekst. Nie ma w nich chronologii, nie ma jednolitej formy narracyjnej. Jest natomiast jeden bohater ze świadomością mężczyzny ok. 50-letniego. Są też kobiety z najważniejszą dla niego żoną Olgą, z którą relacje zmieniają się od erotycznej fascynacji po burzliwe rozstanie. Będzie także dużo młodsza, bardziej kochająca eR niż kochana przez niego. Będą inne kobiety związane rodzinnymi więzami z matką, po śmierci której eR dopiero stał się dorosły. Wracają sceny z dzieciństwa, ze szkoły, z wojska, ze studiów, z kręgów towarzyskich, pracy, z udziałem lepiej znanych lub tylko mijanych postaci. eR ma za sobą zwyczajne życie zwykłego człowieka. Wyróżnia go tylko stopień refleksji nad życiem, ludźmi, zdarzeniami. Myśli eR także nie są odkrywczyste, sądzę, że podobne do refleksji wielu innych mężczyzn, tyle że im nie chce się tego zapisać, pogłębić, zastanowić. Dla eR najważniejsza jest miłość. Wyznaje: *Miłość jest doradcą, przewodnikiem, drogowskazem. Prowadzi tak, byśmy umierając mogli poczuć się spełnieni, wiedząc, że nie przeoczyliśmy najważniejszego, że nic co doniosłe nas nie ominęło, że mieliśmy JA.* Trzeba jednak podkreślić, że miłość ma dla eR rozliczne oblicza. Jest tu tak samo dużo erotyzmu, jak zachwyty dla uroków ciała i duszy kobiety. Ja zwróciłam uwagę na dedykację: *Witce, bez której wszystko byłoby niemożliwe. Czyż można piękniej?*

Ziom Ziomecki zastosował otwartą formułę narracyjną, która pozwala dowolnie poszerzać lub ograniczać wiedzę o bohaterze, a czytelnik nawet może sobie coś dopisać. Bo eR jest jednym z nas. Jest everymanem z naszego świata. Ma życiorys podobny do paru milionów jego rówieśników i podobną sferę odczuć. Jak legendarny Everyman z angielskiego średniowiecznego moralitetu przyjmuje wyzwanie śmierci. Walczą o niego Dobro i Zło, ale on wybawienie i sens życia widzi w miłości. Bardzo to ciepła i serdeczna filozofia.

Marian (Ziom) Ziomecki mieszka na obrzeżach województwa lubuskiego, w pobliżu Miedzichowa i Trzciela, w lesie, skąd świat widać inaczej. Myślę, że pięknie i mądrzej niż w tyglu miast i polityki. „Akt eRosa” jest jego pierwszą książką. Czekam na następne.

Krystyna Kamińska

Ziom Ziomecki, „Akt eRosa”, Warszawa 2013, wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 264.



ROMAN WOJCIECHOWSKI

Anatomia czasu

Szkoda
że nie umiem żywić się chwilą
byłbym wieczny niezatapialny
On
który dał mi delegację
bez terminu powrotu
jak Wielki Księgowy
oblicza koszty podróży
skrupulatnie i nieomylnie
dzień po dniu
dlaczego nie pozwala
na repetycję wczorajszego dnia
na użycie korektora czasu
dziś wiem
co było wczoraj
nie wiem
co będzie jutro

Dwa światy

zakwitła wiosną bezwstydną czerwoną
w bujnej zieleni pyszna zdobna
ona królowa, ona róża

kamień na skalniku wypatrując zimne oczy
z miłości do niej deszczem płacze
czeka na gest i przyzwolenie

wiosna minęła
zboża chlebem dojrzały
ona słońca ostatnich promieni czekając
wreszcie padła niepiękna

całun białą szatą ogród umarły otulił
na skalniku pozostał niezmienny
on kamień, on opoka

Koncert na ciszę

Wybrzmiały już dźwięki wszystkie
te łatwe i proste
rączką dziecka gamą grane
i furioso kadencją
w filharmonii grzmiące

Napisałem koncert
stworzyłem formę
która paletą pauz
z akompaniamentem ciszy
maluje klimaty
wyrażane gestem, barwą i słowem
Proszę nie klaskać
proszę zachować ciszę !

KOFTA NA GORZOWSKIEJ SCENIE

„Nieobecni” w Teatrze Osterwy to autorskie przedstawienie **Dariusza Lewandowskiego**, który je podpisał jako twórca scenariusza, reżyser i choreograf. Tworzywem literackim są piosenki z tekstami **Jonasza Kofty** oraz króciutkie fragmenty jego pamiętnika.

Wchodząc na widownię widz ma przed sobą pusty otwór sceny, bez żadnych ograniczeń kulisami. Tyle że po scenie snują się, biegają, kroczą, grają w piłkę, noszą jakieś bagaże lub tylko siedzą różne postaci. Nie tylko aktorzy, także maszyniści, inspicjentka, oświetleniowcy, statyści – wszyscy, którzy budują to przedstawienie. Wreszcie słychać gong, ściemnienie i za moment patrzymy na fasadę kamienicy, w której każde okno to inne mieszkanie. Najpełniej widzimy mieszkanie poety: nie tylko małe i zagracone, ale też urządzone niezwykle. Piętro wyżej piękna pani zapina czerwony stanik, mierzwi swoje włosy, pali papierosa, czeka. Inna pani podlewa kwiaty na parapecie swojego okna. Przed chwilą na rowerze przyjechał młody mężczyzna i właśnie idzie po schodach, dwaj chłopcy grają w piłkę, po pracy do domu wraca szary urzędnik, między domami snuje się Matka, płacze się jakiś podrostek tu nazwany Chłopakiem z monetą, na ławce siedzi smutna dziewczyna. Ot, codzienność.

Ale ta sceniczna codzienność jest pełna ruchu i... marzeń. Istotą tego przedstawienia jest powtarzalność sytuacji. Bo przecież codziennie wykonujemy niemal te same czynności: myjemy się, jemy śniadanie, pracujemy, witamy i żegnamy osoby bliskie. Jednak każdy z nas od czasu do czasu wyłamuje się z tego banału codziennych czynności, by pomarzyć, by cieszyć się radością, by się zakochać lub zezłościć się na nie taki ten świat, by uświadomić sobie, że choć Ona jest blisko, to jednak kocha innego... Poddając się tym uczuciom, stajemy się w pewnym sensie nieobecni w realnym życiu. Stąd wybrany przez reżysera tytuł przedstawienia, który – moim zdaniem – nie wyraża sedna pokazanych spraw. Bo przecież najważniejsze są właśnie wyśpiewane w piosenkach tęsknoty i marzenia, które każda z postaci nosi w sobie.

Symbolem tamtych marzeń są kolorowe baloniki, tak charakterystyczne dla lat 70. Bo te piosenki pochodzą z lat 70. i wyrażają nastrój tamtych lat: małą stabilizację, gdy już pod



względem bytowym było jako tako, tyle że mnożyły się marzenia bez szans na realizację.

To pełne poezji, wprost wywiedzione z baśni przedstawienie, jest jednocześnie bardzo współczesne. Bo nie o realia tu chodzi, a o ludzką kondycję, a ta się nie zmienia. Współczesność nadają przedstawieniu nowe aranżacje znanych piosenek (**Piotr Hajduk**), niezwykła, zaskakująca a funkcjonalna scenografia (**Agnieszka Kaczyńska i Tomasz Walesiak**), kapitalnie prowadzone światło (**Mieczysław Kozioł**), a nade wszystko ruch sceniczny i choreografia autorstwa **Dariusza Lewandowskiego**. Każdy krok, każdy gest aktorów jest tu głęboko osadzony w budowaniu nastroju i sensu. A tak pięknie wyrażonego szczęścia z miłości, jak pokazują **Joanna Ginda i Bartosz Bandura**, chyba jeszcze w teatrze nie widziałam. Dużym atutem spektaklu są piosenki świetnie zaśpiewane przez każdego z aktorów. Brawa szczególnie dla **Marzeny Wiczorek** i **Jana Mierzyńskiego**.

Przedziwne: w tym przedstawieniu piosenek niewiele, słów jeszcze mniej, a dostaliśmy sceniczną perełkę. Bo też teatr powstaje z tak wielu czynników, które budują jego magię, że słowo może być przesunięte na dalszy plan. Tu o kształcie przedstawienia zdecydowała osobowość reżysera, który jest przede wszystkim choreografem. Dostaliśmy więc teatralne widowisko, w którym czynnikiem dominującym jest ruch. Ruch zapowiedziany jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia, gdy po scenie chodzili, biegali lub kroczyli wszyscy realizatorzy. Oni wszyscy tak samo biegają w trakcie spektaklu, zarówno na scenie, jak i zasłonięci dekoracjami. Tu każdy ma do wykonania wiele czynności, które przekładają się na obraz podawany widzowi. Wszyscy muszą pracować precyzyjnie, by spektakl miał tempo i rytm, które podnoszą go do rangi Sztuki przez duże „S”. A tak jest w spektaklu.

Krystyna Kamińska

„Nieobecni”, teksty piosenek **Jonasz Kofta**, scenariusz, reżyseria i choreografia **Dariusz Lewandowski**, kierownictwo muzyczne **Piotr Hajduk**, kostiumy **Agnieszka Kaczyńska**, dekoracje **Agnieszka Kaczyńska i Tomasz Walesiak**, reżyser światła **Mieczysław Kozioł**, animacje **Marcin Adamski**. Występują: **Joanna Ginda**, **Joanna Rossa**, **Marzena Wiczorek**, **Michał Anioł**, **Bartosz Bandura**, **Jan Mierzyński**, **Maciej Radziwanowski**, **Joanna Dopierala** oraz **Marcin Szafranski** i **Kuba Zienkiewicz** (Studio Teatralne).

Teatr im. J. Osterwy – Premiera 8 marca 2014 r.



Ballady i romanse

Co prawda każdy w szkole czytał, że „pani zabiła pana” albo „miej serce i patrzaj w serce”, ale dla jednych było to dawno (np. dla mnie), a dla innych po łebkach (młodzież). Zaraz po powrocie z ostatniej premiery w **Teatrze Osterwy** sięgnęłam po „**Ballady i romanse**” Mickiewicza, by je przeczytać jeszcze raz, w całości. Myślę, że nie tylko ja tak zrobiłam. I to pierwszy sukces reżysera – **Rafała Matusza**.

Przedstawieniem „**Ballady i romanse Mickiewicza. Laboratorium romantyczności**” teatr dał nam okazję do ponownego spotkania z wierszami wydanymi w 1822 roku, a więc bardzo dawno. Dla polskiej literatury są one przełomowe, bo rozpoczynają epokę romantyzmu, właśnie dzięki Mickiewiczowi najważniejszą dla naszej kultury, a nawet dla polskiego charakteru narodowego.

W balladach jeszcze tych narodowych zawłości nie ma, ale jest dużo zaskakujących uroków. Na przykład horroru, a lubimy horrory. Na przykład fantasy, a lubimy takie pomysły. A także filmu, choć o nim Mickiewicz nie mógł jeszcze słyszeć. Sfilmowanej ballady „Świtez” lub „Lilie” nawet Hollywood by się nie powstydział.

Pewnie podobnie myślał Rafał Matusz, bo podjął się nowego odczytania ballad, zgodnie z wrażliwością współczesnej młodzieży i do tego środkami nowatorskiego teatru. Zadanie to powierzył sześciu paniom



w różnym wieku, co przedstawienie sytuuje bliżej teatru niż młodzieży. Jak je odbierze młodzież, zobaczymy. Nie mogę i nie chcę wypowiadać się w jej imieniu z przyczyn oczywistych.

Szekspirowi by się spodobało

„**Wesołe kumoszki z Windsoru**” są sztuką o znajomych Williama Szekspira. Jeśli nawet sztuka nie portretuje konkretnych osób znanych z imienia i nazwiska, to zobaczyć się w niej mogły liczne panie, a także ich mężowie i sąsiedzi pana Williama. Naprawdę istniała oberża „Pod Podwiązką” z fertyczną (na pewno) oberżystką, a cała miejscowość żyła plotkami, za kogo wyjdzie za mąż panna Anna Page lub co też się będzie działo, kiedy przyjechał sir John Falstaff.

Takie historyjki opowiadali sobie mieszkańcy Windsoru na przełomie XVI i XVII wieku. Nas, tych z początku XXI wieku, także interesuje, kto będzie mężem córki burmistrza lub na kogo zwróci uwagę elegancki i bogaty przybysz. „Kumoszki z Windsoru” właściwie mogłyby być także opowieścią o nas, bo mądry Szekspir zobaczył w ludziach to, co wieczne.

Jacek Głomb, reżyser przedstawienia, nie poszedł jednak na łatwe przenoszenie sytuacji i wniosków. Odwrotnie: bardziej zawierzył Szekspirowi niż nam, współczesnym. I zabawił się Szekspirem.

Zgodnie z intencją Szekspira mamy więc galerię postaci z krwi i kości, realnych, miejscowych. Jedni są przemądrza-li, inni kompletnie głupi, Francuz jest francuski do kwadratu, a Pleban rodem z Walii podkreśla uczoność, zamieniając w wymowie głoski „p” i „b”. Szekspir – jak wszyscy Anglicy

– bardzo nie lubił zarówno sztucznych Francuzów, jak i głupich Walijszczyków, a więc wyśmiał ich do cna.

Do pomysłów autora swoje dołożyli: reżyser, aktorzy, scenograf, kompozytor. Na pewno bardzo by się spodobały Szekspirowi kałuże na ulicy, które trzeba przeskakiwać lub omijać, a każdy z bohaterów robi to inaczej. Kapitalny sceniczny pomysł reżysera wprowadzający naturalny ruch, a jednocześnie charakteryzujący bohaterów sztuki. Na pewno w pełni by zaakceptował Annę Łaniewską jako panią Alicję Ford, która chce być cnotliwą żoną, a jednocześnie miło jej, że nią się zainteresował przystojny Falstaff, a poczciwy mąż jest o nią zazdrosny. Trzeba pisarskiego kunsztu Szekspira, żeby takie zależności zawrzeć w dialogach, a komediowego talentu Anny Łaniewskiej, żeby je pokazać. Tu koniecznie muszą dodać, że z przyjaciółką, panią Małgorzatą Page, czyli Kamilą Pietrzak-Polakiewicz, tworzą znakomitą charakterystyczną parę.

Myślę, że spodobałaby się Szekspirowi ostatnia scena, w której duszki leśne kpią sobie ze śpiącego Falstaffa, wypisz wymaluj przypominająca „Sen nocy letniej”.

A jeszcze kompletnie zagubiony pan Franciszek Ford (Michał Anioł), który zazdrosny o żonę buduje zasadzki, w konsekwencji uderzające w niego samego. Kapitalni Cezary Żołyński i Jan Mierzyński w rolach wyśmianych cudzoziemców. Nawet minoderyjny Falstaff (Artur Nelkowski) na pewno zyskałby uznanie Szekspira, choć



w gorzowskiej realizacji reżyser znacznie go odmłodził i wypiękniał w porównaniu z oryginałem. Jeszcze scenki obyczajowe, jak się zabierać do oświadczyń, jak budować intrygi, jak kupczyć informacjami, których oczekuje klient i tak dalej, i tak dalej...

Przez cały czas trwania spektaklu scena tętni życiem, stale coś się dzieje, co także Szekspir na pewno by pochwalił. On tak nie lubił nudy.

Ciekawa bardzo jestem, czy równie spodobałoby się Szekspirowi rozpoczęcie i zakończenie spektaklu. Na początku jeszcze nie ma dekoracji, widzimy całą teatralną maszynię, na tle której współcześnie ubrana dziewczyna śpiewa współczesną wesołą balladę. Podczas tej piosenki na oczach widzów rozwijają się dekoracje, a współczesna dziewczyna przestacza się w oberżystkę. W finale sztuki jest odwrotnie. Przy piosence śpiewanej przez cały zespół zwijane są dekoracje, aktorzy zrzucają elementy swoich strojów, powraca teatralna maszynieria. Najpierw więc reżyser buduje iluzję teatru, by w końcu zburzyć tamten świat. Wyszliśmy z naszego świata i do niego, niestety, trzeba powrócić.

Nie, nie i nie. Nie chcę wracać. Wolałabym, nawet po realnym wyjściu z teatru, pozostać w tamtym świecie z kapitalnymi postaciami, z konfliktami, które tak łatwo się rozwiązuje, gdzie ważniejszy jest śmiech niż trudne problemy naszej współczesności.

Krystyna Kamińska

Teatr im. Osterwy w Gorzowie. William Szekspir, „Wesołe kumoszki z Windsoru”, przekład Stanisław Barańczak, reżyseria Jacek Głomb.

Z. Marek Piechocki

LIST DO JULII / 8.II

Miła Julio, jakże piękne słońce teraz za oknem, teraz, kiedy zaczynam ten list do Ciebie. Jest sobota. W Soczi za kilkanaście minut Justyna Kowalczyk będzie walczyć w bieganiu na śniegu – a wiesz, że Jej kibicuję, życzę jak najlepiej. Sam, dopóki był śnieg, biegałem duktami moich lasów. W sumie koło 120 kilometrów udało się. Może jeszcze tej zimy dosypie, bo na razie wszystek stopniał.

Cieszę się, że dobrze Ci się pracuje. Wiesz, w mojej filharmonii jest dziewczyna, wiolonczelistka, której edukacja muzyczna zaczęła się właśnie w przedszkolu dla muzycznie uzdolnionych dzieci. A było tak, że w zwykłym przedszkolu odkryto jej ponadprzeciętny słuch, świadomość rytmu, ruchu i przeniesiono do przedszkola o profilu muzycznym. Jakże słusznie. W Wikipedii można przeczytać o Jej osiągnięciach, w You Tube posłuchać muzycznych prezentacji. Tak więc, wypatruj, Miła, talentów pośród swoich dzieciaków, a kiedy grasz im na skrzypczkach, patrz, którym się oczy świecą najbardziej.

Pytasz, jak działa, jak się rozwija Klub Melomana. Jest dobrze. Przychodzi kilkanaście osób. Na spotkanie staram się zawsze zaprosić Muzyków z Filharmonii Gorzowskiej. W tym tygodniu zaprezentowali się fagocistka Natsuki Matsuno i oboista Eike Schaefer. Pokazali instrumenty, ich możliwości. Trochę poopowiadałem o historii, poprzednikach dzisiejszych konstrukcji, a Państwo Muzycy zagrali Sonatę Francesca Geminianiego. Było bardzo miło, rozwinęła się dyskusja o Muzyce, Muzykach. Przy okazji Sere-nady Don Juana, trzeciego utworu z cyklu „Maski” Karola Szymanowskiego dedykowanej Arturowi Rubinsteinowi, tego ostatniego obgadaliśmy nieco, przypominając amoro-we przygody mistrza fortepianu.

Jeszcze, Miła, zanim o Muzyce, która w tym tygodniu, napiszę Ci zdań kilka o naszej wspólnej znajomej Agnieszce Moroz, poetce, której tomik „Ulica magików” masz w swojej biblioteczce. Otóż wyobraź sobie, że Agnieszka zaistniała swoimi tekstami w Stanach Zjednoczonych. The Hoot Review – czasopismo online wychodzi raz na miesiąc w stanie Pensynwalia. Pojawiają się w nim wiersze tylko dwóch – trzech osób.

Ale nie tylko teksty. Razem z nimi grafiki, a także nagranie audio, na którym autor czyta swój wiersz osobiście. Tak więc w przypadku Agnieszki wiersz „Ulica magików” (Magicians), obok zdjęcia autorstwa Bartka Mateńki z tomiku, no i oczywiście nagrania z głosem Autorki. Wiersz czytany jest najpierw po polsku, później po angielsku. Ba, później The Hoot Review wydaje pocztówki poetyckie – połączenie wiersza i grafiki, które można za ich pośrednictwem wysłać znajomym z napisanym ręcznie dowolnym tekstem. Wiersze Agnieszki tłumaczyła Sylwia Szulc. Cóż... Sądzę, że żadna z poetek, żaden z poetów gorzowskich takiego sukcesu odnotować nie może! Więc świetnie! Że Ona! Bo

ja, podobnie jak Ty, bardzo sobie cenię Jej pisanie! Podłączam Ci link do strony The Hoot Review, więc sama zobaczysz:

<http://www.hootreview.com/onlineissue28/>

W tym liście już pewnie nic o Muzyce, bo i późno się robi i list coraz to dłuższy, więc może tylko ten wiersz Agnieszki do poczytania, jeśli byś nie miała dostępu do Internetu, jak ostatnio. Wiem, wiem. Masz książkę, ale tutaj z tłumaczeniem na angielski:

Ulica magików

*Ty lubisz gry
czy się zgrywać
nie zrozumiałam
cytrynki z maszynki
zakłęcie z monopolowego
(patrz jak z butelki znika płyn)
uśmiech à la Caligari
zza szyb domu
w którym kobiety przepadają*

*Wszyscy jesteśmy magikami
na tej ulicy
przedmioty teleportują się nam do kieszeni
sumienie
odpływa pod kapeluszem*

The Street of Magicians

*You like games
or playing the fool
I didn't get that
lemons from the slots
a spell from a liquor store
(watch how the liquid disappears from the bottle)
a smile à la Caligari
from behind the window of a house
where women go missing*

*We are all magicians
on this street
things of all kinds teleport to our pockets
the conscience
flows away under the hat*

Agnieszka Moroz

Jutro napiszę Ci o Muzyce. Tej, która w Filharmonii Gorzowskiej za dni sześc. Tymczasem pozdrawiam w tej nocnej piątkowo-sobotniej porze.

Marek

8 lutego 2014 roku

Święto lubuskich humanistów

Od lat w ostatni czwartek lutego w zielonogórskiej Bibliotece im. Cypriana Norwida spotykają się humaniści z całego województwa. Najpierw – tylko literaci, później także historycy zajmujący się regionem lubuskim, a od ostatniego czwartku również dziennikarze. Wówczas odbywa się uroczystość wręczenia Wawrzynów, czyli nagród dla autorów najważniejszych książek lub publikacji prasowych z minionego roku.

Lubuski Wawrzyn Literacki

Wręczany jest już od 20 lat, a otrzymuje go autor najlepszej książki literackiej, związany z województwem lubuskim zamieszkaniem lub miejscem wydania książki. Tym razem do konkursu zgłoszono 44 książki. Jury nominowało 5 i ich autorzy zaproszeni zostali na uroczystość. Byli to:

1. Jerzy Fryckowski, autor tomu wierszy „Chwile siwień” (Wydawnictwo Tawa, Chełm 2013);
2. Mirosław Kuleba, autor zbioru esejów „Enographia Thalloris” (Fundacja Gloria Monte Verde, Zielona Góra 2013);
3. Maria Sidorska-Ryczkowska, autorka powieści „Klucze do rzeki” (Wydawnictwo Innowacyjne „Novae Res”, Gdynia 2013);
4. Czesław Sobkowiak, autor książki „Rzeka powrotna. Zapiski i małe prozy” (Wrocław 2013);
5. Małgorzata Stachowiak-Schreyner, autorka tomu wierszy „Jestem, która Jesteś”, (wyd. „Organon”, Zielona Góra 2013).

Z tego grona związku z Gorzowem ma Jerzy Fryckowski, bo w naszym mieście się urodził w 1957 roku, ale całe dorosłe życie związał ze Słupskiem, a dokładniej z Dębicą Kaszubską leżącą obok Słupska. Inni autorzy pochodzą z południa województwa lubuskiego.

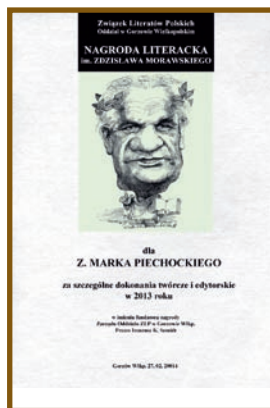
Nagrodę dostał **Mirosław Kuleba** za wielką księgę „Enographia Thalloris” liczącą 1150 stron, tematycznie związana z winiarskimi tradycjami Zielonej Góry. Jest to dzieło monumentalne, wymagało od autora mnóstwa pracy, od wydawcy dużych pieniędzy, księga jest podziwiana przez wszystkich, ale słyszało się wątpliwości, czy powinna startować do literackiego konkursu, jako że bardzo blisko jej do eseju historycznego.



Gorzowskim akcentem było wręczenie pani **Marii Morawskiej honorowego dyplomu Lubuskiego Wawrzynu dla uczczenia twórczości zmarłego jej męża – Zdzisława Morawskiego z okazji wydania tomu zbiorowego jego wierszy pt. „Rzecz o dorzeczności, wiersze 1959-1992” w wyborze i układzie Ireneusza Krzysztofa Szmida, którego wydawcą był Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp.**

Nagrody Związku Literatów Polskich

Specjalnym ukłonem do pisarzy są nagrody ustanowione przez dwa lubuskie Oddziały Związku Literatów Polskich. Oddział w Zielonej Górze przyznaje Lubuską Nagrodę Lite-



racką, a przypadła w tym roku **Januszowi Koniuszowi** z okazji jego 80-lecia. Natomiast gorzowski Oddział ustanowił od tego roku Nagrodę Literacką im. Zdzisława Morawskiego, którą otrzymał **Z. Marek Piechocki** za dokonania twórcze i edytorskie w 2013 roku.

Lubuski Wawrzyn Naukowy

Jest trochę młodszy od Literackiego, bo ma dopiero 9 lat. Do tego konkursu zgłoszono także ponad 40 prac, a tu warunkiem było tematyczne związanie książki z regionem lubuskim. Jury naukowe nominowało autorów najlepszych książek, którymi byli:

1. **Radosław Skrycki**, autor rozprawy „Prace kartograficzne w dolinach Odry, Warty i Noteci w okresie fryderycjańskim” (Wydawnictwo Naukowe Wydziału Humanistycznego US „Minerwa”, Szczecin 2013);
2. **Miron Urbaniak**, autor książki „Kolej Skwierzyna – Stare Bielice. Kolejowy modernizm w Polsce” (Fundacja Wspierania Inicjatyw Kulturalnych i Wydawniczych: Księży Młyn, Łódź 2013);
3. **Anna Zielińska**, autorka książki „Mowa pogranicza. Studium o językach i tożsamościach w regionie lubuskim” (Sławistyczny Ośrodek Wydawniczy, Warszawa 2013).

Lubuski Wawrzyn Naukowy otrzymała **prof. dr hab. Anna Zielińska** (na zdjęciu z nagrodą – Srebrnym Piórem), która łączy pracę w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Gorzowie



Wlkp. z funkcją zastępcy dyrektora Instytutu Sławistyki Polskiej Akademii Nauk ds. naukowych. Warte podkreślenia jest to, że wszystkie nominowane książki związane były z północną częścią woj. lubuskiego.

W tej kategorii wręczono także dwa dyplomy honorowe dla autorów najciekawszych prac o charakterze popularnym. Otrzymali je: **Zbigniew Czarnuch** z Witnicy za książkę „**Posmakuj Witnicy. Opowieści o sztuce warzenia piwa w ogóle, a piw lubuskich w szczególności**” (Browar „Witnica”, Witnica 2013) i **Tadeusz Marcinkowski** za pracę „**Skarby pamięci**” (Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze).

Lubuski Wawrzyn Dziennikarski

W tym roku ustanowiono i po raz pierwszy wręczono Wawrzyn autorowi najlepszej publikacji prasowej lub audycji radiowej bądź telewizyjnej. Należało zgłosić do 5 audycji lub artykułów. Wpłynęło 85 zgłoszeń, a tym samym członkowie Jury musieli przeczytać lub obejrzeć ponad 400 prac dziennikarskich. Wybrali autorów najlepszych:

1. **Cezary Galek** za zgłoszone reportaże radiowe: „**Opowieść prowincjonalna**”; „**Wiersz dla Emilki**”; „**Historia dwóch Marii**”; „**Przodem do przodu**”;

2. **Jacek Katos Katarzyński** za audycje telewizyjne: „**Firefly Film Studio**”; „**Wawrzyn... Impro... Opera...**”; „**X lat Lata Muz Wszelakich**”; „**Najciekawszi goście 2013 r.**”;

3. **Leszek Kalinowski** za artykuły prasowe: „**Zakochany w Aniele**” [wydanie internetowe „**Zakochany w Annie German**”]; „**By się nie zgubić. W życiu**”;

„**Powiedz, jak mnie kochasz**”; „**Skok przez życie**”; „**Ocalmy od zapomnienia Polską Wełnę**”;

4. **Wojciech Kuska** za prace telewizyjne:

film dokumentalny „**Niezależni**”; „**Ekstraklasa kulturalna**” – „**Spotkania Alte Kameraden**”; „**Ekstraklasa kulturalna**” – wydanie specjalne („**Czary-mary Pampalary**”); Rozmowa z laureatami – „**Ale sztuka!**”;

5. **Agata Żrańko** za artykuły prasowe: „**Jesteśmy jak Ameryka, tylko żużel mamy lepszy**”; „**Jak pokochać święta i nie dać się depresji**”; „**Pierwsza kobieta żużlowiec**”; „**Tango w spichlerzu**”; „**Być jak markowy Woodstock**”.

Lubuski Wawrzyn Dziennikarski otrzymał **Cezary Galek** z **Radia Zachód**, zaś honorowy dyplom za debiut – **Agata Żrańko** z „**Gazety Wyborczej**”. Reprezentantem Gorzowa w tej kategorii był **Wojciech Kuska** z **Telewizji Regionalnej**.

Jeszcze inne nagrody

Bohaterowie wieczoru, czyli laureaci Wawrzynów, dostali symboliczne także pamiątkowe dyplomy w złotych ramkach ze stosownym wpisem. Wszystkie nagrody wręczane były uroczysto, na scenie, z laudacjami dla laureatów, ich

wystąpieniami dziękczynnymi itp. Było dużo kwiatów od wojewódzkich i miejskich władz najwyższych szczebli, gratulacji i życzeń. A na zakończenie – towarzyskie spotkanie przy miłym bankiecie, kiedy to jest okazja do bezpośrednich rozmów. Dla mnie – zawsze miłe spotkanie z zaprzyjaźnionym środowiskiem pisarzy lubuskich.

Kwiat humanistyki

Bohaterami wieczoru są twórcy, autorzy książek i publikacji prasowych, ale w Wawrzynowych spotkaniach uczestniczą zawsze także jurorzy, czyli trzy zespoły ludzi z autorytetem naukowym lub krytycznym, rektorzy lub ich przedstawiciele wszystkich lubuskich wyższych uczelni, przyjaciele autorów, a tym samym zajmujący się literaturą, historią regionu lub dziennikarstwem, pracownicy bibliotek, także zielonogórcy aktorzy, którzy uroczystość wzbogacają swoimi występami. Zgodnie stawiają się także wysokie władze wojewódzkie oraz miejskie Zielonej Góry i Gorzowa. W tym roku siedzieli obok siebie wojewoda Jerzy Ostroch i wicemarszałek Maciej Szykuła oraz dwie panie wiceprezydent – Alina Nowak z Gorzowa i Wioletta Haręźlak z Zielonej Góry. Te instytucje są również fundatorami nagród oraz pokrywają koszty organizacji konkursu. A organizatorami tej wielkiej imprezy są wspólnie dwie Wojewódzkie i Miejskie Biblioteki Publiczne – w Zielonej Górze im. Cypriana Norwida i w Gorzowie Wlkp. im. Zbigniewa Herberta, a więc otwierając spotkanie stanęli obok siebie dwaj panowie dyrektorzy – Andrzej Buck i Edward Jaworski.

Dwie instytucje przykładają się do przeprowadzenia konkursu i zorganizowania spotkania, ale zielonogórcanie czują się jej inicjatorami, dlatego raczej nie ma nadziei na urządzenie jej raz w jednym, raz w drugim mieście.



Nr 1 (56)
2014



ISSN 1732-1069



PEGAZ
LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP
i ZO ZLP w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: **Ireneusz Krzysztof Szmidt**, tel. kom. 501 520 227, tel./fax 95 729 50 80. Sekretarz red. **Danuta Zielińska**.
Współpraca: **Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Beata P. Klary, Kinga Mazur, Agnieszka Moroz**. Rysunki: **Zbigniew Olchowik**. Zdjęcia: **Aneta Długołęcka, Ferdynand Głodzik, Beata P. Klary, Łukasz Kulczyński, Kazimierz Ligocki, Piotr Merda, I. K. Szmidt** oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: **Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zb. Herberta**, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i **ZO ZLP w Gorzowie**, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: zlp.gorzow@wp.pl; e-mail: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp.gorzow-cba.pl. Skład komputerowy: **Daniel Besta i I. K. Szmidt**.

PROMOCJE PEGAZA LUBUSKIEGO I NOWYCH KSIĄŻEK AUTORÓW GORZOWSKICH



Młodzi czytają



i coraz lepiej piszą



dojrzała też



*Promocje:
w WiMBP*

*Wiersze
Zdzisława
Morawskiego
czytał Roman
Wojciechowski
(też poeta)*



Z Łucją Fice, autorką „Wyspy starców”, rozmawia red. Krystyna Kamińska



*Było też kino:
wiersze na
ekranie*



Przy pierwszym stole w sali promocyjnej zasiadła rodzina poety



A w LAMUSIE



„Rzecz o dorzecznosci” promowali autor wyboru Ireneusz K. Szmidt i postawia Czesław Sobkowiak.



„Czerwone Korale” – swoją pierwszą książkę prozą, promował sam autor ze wspomaganiami Aliny Czyżewskiej i Andrzeja Józwiaka

Łucja Fice na Światowych Dniach Poezji UNESCO

Pierwszego dnia wiosny, 21 marca 2014 roku, w Londynie spotkają się poeci wielu krajów, by czytać swoje wiersze. Wśród nich, na zaproszenie polonijnego pisma „PoEzja”, będzie poetka i autorka powieści „Przeznaczenie” i „Wyspa staców”, Łucja Fice. O patronat nad jej udziałem poproszono redakcję „Pegaza Lubuskiego”, którego logotyp będzie uwidocznił w przestrzeni wizualnej imprez poetyckich. Oto niektóre z nich:

W piątek 21 marca o godzinie 19.00 – wieczór poświęcony poezji Sokrata Janowicza, Konstantego Koźłowskiego i Łukasza Bieleckiego. Odbędzie się również premiera filmu poetyckiego i montaż poetycko-muzyczny. W sobotę 22 marca o godzinie 10.00 odbędzie się spotkanie poetów w auli Polskiej Szkoły Przedmiotów Ojczyźnych. O godzinie 14.00 nastąpi wymiana licencji poetyckich między narodami i językami, przygotowana przez poetów angielskich w ramach II Europejskich Dialogów Poetyckich. O godz. 19.00 – „PoEzja na zielonym dywanie”. W niedzielę rano wycieczka po Londynie, a o godzinie 19.00 w Jazz Caffé POSK KING STREET LONDON W6 ORJ rozpocznie się poetycki koncert galowy „W drodze do domu”, podczas którego zaprezentują swe utwory artyści z żelaznego składu „PoEzji” Londyn, jak również wszyscy zaproszeni goście. Nastąpi również ogłoszenie wyników Mistrzostwa Świata w PoEzji (International PoEtry Championship London 2014).

W następnym numerze „Pegaza Lubuskiego” ogłosimy, kto zdobył ten zaszczytny tytuł. (IKS)

Roman Habdas

EUROSIEROTA

Giniol, jak wszystkie dzieciaki, stawiał kiedyś babki w ciągle zasranej przez osiedlowe psy piaskownicy. I jak wszystkie osiedlowe dzieciaki wdeptywał mniejsze i większe bobki rozsiane na całej połaci swojego psiego pola. Rodzice już wtedy kupowali mu sportowe buciki ze znakiem łyżwy i ubranka z metkami uznanych firm. Pozostali chłopcy kopiący piłkę między wieżowcami na spłowiejącej od nadmiaru łajna trawie też mieli podobne. Z lumpeksów.

Giniolem chodzącym od poniedziałku do niedzieli ciągle w tej samej bluzie z kapturem w mysim kolorze zajmowała się teraz babcia. A wszystko zaczęło się z chwilą wejścia Polski do Unii Europejskiej. Z chwilą wyjazdu jego „starszych” za pracę.

W dzieciństwie Giniol nie zapowiadał się na wysokiego chłopaka. Tężyzny nabierał na trzepaku. Zwisy na rękach i nogach, podciąganie, ale najczęściej to spychanie innych, ujędrniało jego mięśnie, wyrabiało muskulaturę, rozciągało bary. Potężniał wszerek i wzdłuż. Babcia, która przejęła obowiązki mamy i taty, karmiła młokosa po polsku, choć śniadanie zaczynało się nie zacierką lub płatkami owsianymi na mleku, a kukurydzianymi z glazurą miodu. Po jakimś czasie na stół wjechały tosty, bo mama z tatą przywieźli z Anglii na pierwsze święta toster. Zachęcali nawet babcie-mamę, aby podawała od rana więcej fasoli i jajek na bekonie, bo nad Tamizą to jest trendy, ale w babciniej kuchni owa propozycja nie przeszła. Nestorka wiedziała swoje i zaraz po ich odlocie zapełniała lodówkę żeberkami, wątrobianką, śląską kiełbasą i białym serem od baby z osiedlowego ryneczku. Oni natomiast zabierali za kanał La Manche kabanosy, małosolne ogórki i polski chleb. Jednak z dnia na dzień częściej i częściej karmili się kaszanką niezgody. Bo od smaku forsy, której jak dotąd brakowało, można przecież dostać fiksum-dyrдум.

Szybko rósł zostawiony, niby na rok, pod skrzydłami babci ich ukochany synek. Po czterech latach w pierwszej klasie gimnazjalnej nos Giniola był ponad oczami dość postawnej babci. W międzyczasie londyński Big Ben wybił ostatnią godzinę dla jego rodziców. Ojciec odszedł w mglistość interesów, które skończyły się wizytą Policji Metropolitalnej, czyli Scotland Yardu, a nieco później wyrokiem bez deportacji. Matka znalazła szczęście niewarte funta kłaków w rudym Walijszyku, wynajmującym pokoje. A babcia nadal wychowywała ich synka, który przez najbliższe lata grał pierwsze skrzypce na osiedlowym placu, trzepaku i w cieniu okolicznych klatek schodowych.

Pomimo podsyłanych raz po raz przez matkę ciuchów i funtów na drobne wydatki, Giniol wcale nie był szczęśliwy. Filozofia trzepaka, jaką studiował od kilku lat, podpowiadała mu, że czas wziąć się do roboty. Skołować towar, rozprowadzić, zarobić i jak najszybciej wprowadzić na parking swój wóz. I nareszcie zacząć żyć. Jak inni, którzy już dawno mają za sobą trzepak. Którzy z zajefajnymi laskami w swoich czarnych beemkach hamują z piskiem opon pod najlepszymi w mieście klubami.

W branży lubiącej półmrok Giniol zadomowił się szybko. Pod szkolnymi murami towar miał powodzenie i schodził, że palce lizać. Pośrednictwo, w jakie wszedł, dawało nadzieję, że wkrótce wypłynie na szersze wody. Z ojcem nie widział się od ponad roku i wiedział, że potrwa to jeszcze kilka lat, zanim ten opowie mu o przeżyciach i o potknięciu, którego on chciałby uniknąć. – „Muszę być lepszy. Najlepszy!” – powtarzał kole-

nym, nowym podrostkom przy trzepaku, których ojcowie też zarabiali nad Renem, Loarą i Tamizą.

Nie wiadomo, czy tamtego piątkowego wieczoru ktoś na policję zadzwonił, czy radiowóz w ramach patrolu sam podjechał pod trzepak. Nie pierwszy zresztą raz, bo coraz częściej pękało tam szkło. Bębenki od przekleństw, przegrody nosowe od pięści. Teraz jednak butelki, które miały swoje miejsce w głębokich kieszeniach obszernych dresów, były napełnione, a zawartość, jaką posiadały, zupełnie nieskrycie przelewano do gardeł. Z blokowisk po odjeździe mundurowych wychyliło się kilka głów. Można było usłyszeć rzucane z okien chłopięce imiona. Kilku zakapturzonych ruszyło potem w cień klatek schodowych. Byli nimi ci, którzy po wejściu do mieszkania zmieniają język i mówią: mamusiu, tatusiu. Zdawać by się mogło, bardzo dobrze ułożone szczeniaki. I nic to, że kiedy znowu wyjdą za próg, szczekają przekleństwami, że za rogiem podchodzą watahą i kąsają, za nie taką gębę, za szalik, za gest. Że zagryzają. To nie istotnie, może i najmniej ważne... W domu są przecież tacy ułożeni, tacy do rany przyłoż.

Trzasnęły drzwi wiatrołapów. Na klatkach schodowych zapaliły się żarówki. Ruszyły windy. Na kuchennych stołach czekały przygotowane dla nich kolacje. W pokojach, przed płazmami ojcowie niechętni do rozmów, matki kto wie, może i chętne, ale przy żelazkach, może przy garach z myślami o jutrzejszym obiedzie. Na każdego z chłopaków, po wrzuceniu czegoś tam na przysłowiowe ruszta, czekał ażyl pokoiku i wieczorny luz-blus z oknem Internetu i całym wirtualnym światem.

Pod trzepakiem został Giniol i ci, których ojcowie byli nad Renem, Loarą i Tamizą, a matki na drugich zmianach w szwalniach, szpitalach i gdziekolwiek. Pod trzepakiem zostało jeszcze pytanie, na które szukali odpowiedzi: Kto nasłał radiowóz z psami?

Pierwsza wysączona z piwa butelka trafiła na asfalt, tuż przy wiśniowym tico chudego ojca Pipi, pozującej na Barbie. Druga wgniotła błotnik białej astry brzuchatego wędkarza, co nosi sztandar na parafialnych procesjach. Trzecia dosięgła punto, a precyzyjnie: przedniej szyby, która rozleciała się w drobny mak.

I znowu pootwieraly się okna. Ale nie tylko, bo i drzwi klatki schodowej, z której w samej koszulce wyskoczył jak gwizdek z wrzącego czajnika emerytowany wuefista, właściciel trafionego fiata. Trzymał w dłoni coś połyskującego, podłużnego i lekko wygiętego. Biegł przez chodnik i ulicę, wykrzykując, że...

Brzęk spijanej się szyby, która odwiecznie w trakcie zeznań rozbita bywa... niechcący, rozproszył spod trzepaka balangującą bandę, z wyjątkiem jednego, Giniola. Ten z uciętym na potrzebę chwili „tulipanem” w ręce, stał w pozycji typu: tylko podejdź, tylko mnie rusz. Wuefista nie odczytał jednak właściwie przyjętej przez Eurosierotę postawy i nie odczytał, na własne nieszczęście, jego myśli. I ostatecznie podszedł o krok za blisko.

Jeśli ktoś zza firanki, z otwartego okna, czy spacerując nieopodal, przyglądał się tej scenie uważnie i miał dobry wzrok, mógł zauważyć w półmroku latarni szybki, zdecydowany ruch i odsłonięta szyja emerytowanego wuefisty otworzyła się i... zakwitła. Biały t-shirt nabierał nieokreślonego, w mroku placu zabaw, koloru. Jego nosiciel cofnął się o kilka kroków. Przykucnął, niby chcąc usiąść na obrzeżu piaskownicy, ale zachwiał się i upadł. Nogi pozostawały na wyłysiałej trawie, a głowa w piasku wielokrotnie wcześniej przerabianym na lody, babki i inne foremkowe wypieki. Z dłoni mężczyzny wystawała długa, plastikowa łyżka do zakładania butów.

Hubert Kopacz

ATEISTA

Artur był praktykującym ateistą. Rzecz jasna praktykował ateizm, a nie religizm. Niezbadane są jednak wyroki boskie. Bóg nie pokarał Artura dzieckiem bez rąk, nie trzasnął piorunem, nie bił kulami, widział i nie grzmiał. Artura nie okradli, nie rozbił samochodu, nie złamał kręgosłupa, choć skakał na główkę do basenu. Postanowił Bóg zemścić się na Arturze za jego brak wiary w inny sposób. Mimo że chodził Artur swoimi ścieżkami, chodziło za nim Boskie Widmo. Widmo to przybrało postać religijnych piosenek. Swoją drogą trochę, dość, bardzo, kolosalnie upiornych. Tak więc chodził Artur, a za nim gdzieś w tyle głowy spiker dyktował mu teksty, których Artur nawet wcześniej, z racji swojej religijności, nie znał. Ubrany w garnitur Artur nucił *Zawitaj królowo różańca świętego, jedyna nadziejo człowieka grzesznego...*, choć pokładał swoje nadzieje w nieco innych płaszczyznach. *Bądźże pochwalona Hostyjo żywa,*

w której Jezus Chrystus... Nie potrafił się Artur uwolnić od tej strasznej klątwy zrzuconej na niego przez tego, którego nie ma. Ogień krzepł, moc truchlała, szedł jego pan, chwalił Artur łaki umajone, była chwała i uwielbienie. Pewnego dnia zwyczajnie się załamał. On, prawdziwy ateista, robił takie rzeczy. W środku Warszawy śpiewał, że *jak ten kielich złączył kropel wiele, tak nas Chryste w swoim złącz kościele*. Mijały tygodnie, a Artur całkiem stracił nadzieję na to, że ta mania z niego wyjdzie, że kiedyś to minie. Nie minęło. Tak dalej żyć nie mógł. Te pieśni coś w niego wpoily. Podjął wkrótce decyzję o wstąpieniu do seminarium. Wstąpił. Udało się! Jego kara odeszła od niego. Nie śpiewa już Artur, że wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi. To znaczy śpiewa, ale tylko od północy 25 grudnia do 2 lutego. Niestety jedna rzecz się w Arturze nie zmieniła. Nadal nie wierzy. Zmienił tylko swoją korporację na większą, a garnitur na sutannę. Jednocześnie zgłębił Artur pewną tajemnicę. Okazało się bowiem po licznych rozmowach ze swymi współbraćmi, że większość z nich spotkał ten sam los i są tu z tego samego powodu. Jako ateści bowiem zaczęli prosić, by zawitała królowa różańca świętego...

Ferdynand Głodzik

Lubuskie Centurie Nostradamusa 2014

Z parzystym rokiem ucichną kłótnie,
osiągnie sukces gorzowski żużel,
będzie weselej, bo było smutniej,
wyślemy uśmiech Zielonej Górze.

Nikt nas nie skusi obietnicami,
zanikną w jezdniach koszarne dziury,
będziemy bułki jeść z pieczarkami,
na końskich pączkach z Kobylej Góry!

Działacz, co wszędzie węszył aferę,
nikomu bredni nie będzie wciskał,
bowiem okaże się rottweilerem,
wprawdzie rasowym, lecz ze schroniska.

Pocziwa Warta odprawi lody,
nikt nie zaufa już politykom,
co są jak owe nieszczęsne schody,
wiodące wielkie tłumy donikąd.

Radni pogodzą się z prezydentem,
nikt awanturek nie będzie wszczynął,
nowe tramwaje pomkną odświętnie,
po nowych trasach i prostych szynach.

Nic nie żęgałem, mogę wam przysiąc!
Wiercie głęboko i bądźcie pewni,
jeśli nie dzisiaj, to za lat tysiąc,
wszystko com spisał musi się spełnić!



Krzysztof Chrzastek

AFORYZMY

- @ Dla orzełka reszka jest milczeniem.
- @ Ludzi najbardziej gryzie zęb czasu.
- @ Kat nie miał nic do stracenia – prócz siebie.
- @ Poszedł po rozum do głowy i tyle go widzieli.
- @ Niektórym pójście po rozum do głowy zajmuje całe życie.
- @ Był tak skąpy, że nigdy nie dorzucał nawet swoich trzech groszy.
- @ Stara panna już nie wierzy, że do wesela się zagoi.
- @ Dziewczyny coraz szybciej mówią „pas” cnoście.
- @ Wiara góry przenosi, ale doliny pozostają.
- @ Mieląc ozorem nie uzyskasz mąki.
- @ Rzucając mięsem w policjanta nie oczekuj, że ci się upieczą.
- @ Mieląc ozorem nie uzyskasz mąki.
- @ Skoro na miłość nie ma lekarstwa, to dlaczego wszyscy zakochani jeszcze żyją?
- @ Jeszcze chwila a godło wywinie nam orła.
- @ Nawet pociąg fizyczny powinien mieć hamulec bezpieczeństwa.